№ 14 Warszawa, dnia 22 Marca (3 Kwietnia) roku 1880.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

SIELANKA.

(Dokończenie).

— Czy i malarstwo nie obce Frani? spytałem.

— Z pędzlem i paletrą mało się jeszcze znamy, zabrał znowu głos Leśniczy, ale przyjdzie i to powoli, nieprawdaż panno Franciszko? i słodko się jakoś bardzo do uczennicy swej uśmiechnął.

— Coś w tem się ukrywa... pomyślałem znowu. Ten sługa Sylwana i turkaweczka moja, znają się widać z sobą dobrze. Taki niby poważny, zagląda jednak w oczy dziewczynie... Leśniczy mógł się podobać niejednej jeszcze na świecie bożym. Młody to był człowiek, najwyżej lattrzydziestu kilku. Włosy jednak na głowie gdzieniegdzie siwiejące i przerzedzone trochę, tworząc mu nad skroniami kąty wydatne, starszym go nieco czyniły, pokazywały się też i zmarszczki na wysokiem czole jego. Blada twarz, jedwabistym, miękkim ozdobiona wąsem, miała w sobie coś pociągającego, a zapadłe głęboko w orbita, jak żuzle świecące oczy, błyskały niekiedy iskrą zapału. Życie snadź nie wyziębiło w nim jeszcze porywów serdecznych, nie wygnało z duszy mrzonek.

— Budzę kuzynka, zawołała raptem Frania, i śmiać się poczęła; zadumałeś się, jakbyś plan jaki snuł w głowie...

W istocie, wpatrzony w dwoje tych ludzi, błądziłem daleko.

— Kuzynek, widzę trochę poeta, szczebiotała Frania, wzdycha często, myśli głośno niekiedy... zupełnie tak jak Joasia...

— A pani też nigdy, ani na chwilę w górę nie strzeli oczkiem, nie zatęskni, nie zapłacze? rzucił słówko w mojej obronie Leśniczy.

— Życie snuje mi się różowym obłoczkiem, odparła bez namysłu Frania, jestem i muszę być szczęśliwą...

— Przejdzieszże je całe z piosenką na ustach? przerwałem, marszcząc brew.

— Być może... zobaczę...

— Posiadłaś więc talizman, Franciszko...

— Talizman? powtórzyła z cicha, zabawnyś, kuzynku, doprawdy! Sądziszże, iż szczęście na drodze gdzieś leży i dość się schylić, by podnieść je i zagarnąć?

— Bezwątpienia, wtrącił p. Teofil, szczęście jest wszędzie i nie masz go nigdzie, sami je sobie tworzymy. Talizman nasz, my to sami, wierzaj mi pan...

— Ależ tak, kuzynku, dorzuciła znowu Frania, chorujesz na ideały, dręczysz się próżno, ty, coś w czepku się urodził... cha, cha, cha.

Miałem już odpowiedź na ustach, gdy jak na złość p. Teofil spojrzał na zegarek.

— Pora i na mnie, rzekł, wstając z ławeczki...

Było już południe,wszystko się ruszać zaczęło we dworze, dochodził nas gwar z dziedzińca.

— Ojczulka głos słyszę, zawołała Frania. Chodźmy, panie filozofie... prędzej, służę jegomości...

Za chwilę, pochwyciwszy sąsiada w oba ramiona, szeroko coś począł rozprawiać Wujaszek. Mówili z sobą to głośno, to ciszej, jak wypadło, nie słuchałem ich wszakże. Inneż bo myśli mię obsiadły... Wprędce ukazały się w saloniku i obie, niewidzialne dziś jeszcze od rana kuzynki. Przerwała się gawęda Leśniczego z Wujaszkiem, sąsiad zabawiał dziewczęta. Poglądał na to z boku stary, kręcił głową, i choć do rozmowy się ich nie mieszał, zdawał się czemś niepokoić... czegoś dopatrywać widocznie...

— No, proszę! pomyślałem w duchu, szczęśliwy człowiek z pana Leśniczego... adoruje go i męży Wujaszek, sprzyja mu Frania, radaby go podbić Andzia, a oczyma pożera go już tęskliwa marzycielka! Coś jak mędrzec ów grecki, to jedno wiem, iż nic z tego wszystkiego nie rozumiem... Myśli się już moje plątać zaczynały, gdy w ciągu rozmowy, mimochodem spytał pan Teofil:

— Wybierałyście się panie od dawna na majówkę do lasu... jakże więc, będzie co z tego?

— To od Mamy zależy, skrupulizowała Andzia.

— Tyle przeszkód, westchnęła Joasia.

— Ha! kiedy już tak, to cała nadzieja w Beniaminku... uprosi on Mamę... zaśmiał się Leśniczy.

— We Frani? zawołała marzycielka jakby ze snu się budząc przykrego, mówiłeś pan z nią o tem panie Teofilu?

— Możeśmy i mówili... odparł z naciskiem... właśnie poszła naradzić się z mateczką.

— Frani to jeno i w główce, bąknęła Andzia, i nieznaczny jakiś, ironiczny uśmieszek przebiegł jej lica. Melancholijny wzrok Joasi po białych gdzieś błądził ścianach pokoju, jakby szukając otuchy...

— A i Warszawiaka naszego zabierzemy z sobą, co, zgoda, panie kochany? zwrócił się wreszcie do mnie.

— Z ochotą, odrzekłem, do boru jam zawsze gotów, czy na majówkę, czy z fuzyjką i ogarem...

Wujaszek mruczał coś z pod wąsa.

— No, i kiedyż to, kiedy ta feta? spytał którąś z córek.

— A gdyby tak we środę, szepnął Leśniczy, cóż panie na to? pojechalibyśmy do Leśniczówki...

— A podwieczorek w Ostępie, tuż obok... dorzuciła Andzia...

— Ależ tak nie inaczej, w Ostępie, siostrzyczki moje, stojąc raptem za krzesłem Andzi, rozpromieniona ozwała się Frania.

— Wniosek przyjęto, należało tylko myśleć o przygotowaniach. Leśniczy rączki jeno ściskał dziewczętom, w wybornym był humorze.

— Więc we środę, wstając z miejsca, raz jeszcze powtórzył, i wkrótce, mimo zapraszań Wujaszka, odjechał do siebie.

...Zawsze mu pilno, mruknęła Andzia.

— Co się to stało panu Teofilowi, wesół dziś jak nigdy, zastanawiała się Joasia. Frania szepnęła coś tylko na ucho Andzi i wyszły obie do ogrodu. Niebawem i Joasia pocichutku się wysunęła z pokoju, pozostaliśmy we dwóch tylko z Wujaszkiem. Szerokiemi kroki mierzył stary wzdłuż i wszerz komnaty, gestykulował, chrząchał. Zatrzymując się wreszcie przede mną:

— Kto wie, rzekł, może i będzie chléb z tej mąki...

Zrobiłem wielkie oczy.

— Nie rozumiesz mnie, Cesiu? spytał. Patrzysz coś tak, jakbyś spadł z księżyca...

— Aaa... o cóż idzie, Wujaszku? zawołałem.

Stary błysnął tylko oczyma z pod brwi krzaczystych, zabębnił palcami po stole, uśmiechnął się i... urwał nagle przechodząc do innej materyi...

Cicha fala spokojnie płynących dni na wsi, pomykła zwykłym niby prądem. Ranek spędzałem częścią na czytaniu i rozmyślaniach w izdebce mojej, to znowu z fuzyjką na plecach po zaroślach brodząc, szmaragdowe deptałem Nadniemeńskie łąki. Resztkę dnia i wieczory całe w kółku rodzinnem na miłej, przeplatanej muzyką i śpiewem, ulatywały mi gawędce. Nic się nie zmieniło dokoła mnie, w Raczkach, burzliwe jeno namiętności wzbierały w mej duszy, tęsknica jakaś przerażająca coraz bardziej nurtowała serce. Któtko mówiąc, rozkochałem się szalenie... A Frania? ha! szczególna to jakaś była, z mgeł i promieni złożona natura. Co rankiem się jej podobało, nudziło ją nie dalej jak w południe a wieczór nowe często sprowadzał zachcianki. W życiu potocznem usposobienie takie nazywają kaprysem. Według mnie, Frania rozpieszczonem jeno była dzieckiem Zrywała się do życia, przeczuwając je zaledwie. W młodziutkiej duszyczce najszlachetniejsze spoczywały instynkta a przyszłość dziewczęcia od umiejętnego jedynie zależała kierunku. Rodzice zajęci byli gospodarką, siostry w forpocztowe jeno dawiąc się utarczki, drażniły Franię... podsycały płomień... Jam kochał... ideał swój młodzieńczy wcielając we Franię: dziewczę nie miało jeszcze ideału... a w serduszku jej panowały rojenia mgliste... Franię porównywałem do bluszczu, co wijąc się dokoła dębu, ozdobą mu jest i koroną. Przenieś go na inne drzewo, innemi każ mu się żywić soki, wnet uschnie, zmarnieje... Bywały chwile gdy jeden uśmiech, słówko maleńkie pięknej kuzyneczki, wrota raju ziemskiego otwierały przedemną... jedno znowu skrzywienie się jej, chmurka przelotna na czole dziewczęcia, z siódmego nieba zachwytu w otchłań mnie rozpaczy pogrążały...

— Co ci się stało, kuzynku? coś tak nachmurzony i tęskny, Czesiu? od czasu do czasu szczebiotliwie kładły mi w ucho dziewczęta.

Tłomaczyłem się z niechęcią podając się mimowoli w podejrzenie, którego uniknąć przechodziło siły moje. Badały mię, żartowały, dręczyły wnioskami, aż wreszcie, godząc się na jedno, iż tęsknię po zostawionym ideale daleko gdzieś... za górami, umilkły... Szybko jakoś, niepostrzeżenie zawitała środa. Od samego już ranka ruch niezwykły we dworku, krzątanina i śmiech wesoły kuzynek, zapowiadały wycieczkę do lasu. Frania ciągle coś miała do powiedzenia mateczce, Andzia rada była dowcipne rzucić niekiedy słówko, Joasia tylko wciąż smętna, zdawała się czegoś lękać... spodziewać może?.. po południu wybraliśmy się wreszcie... Piękny był dzionek letni, niebo pogodne, ani jednej chmurki w przestworzu błękitu w górze, wesoło na ziemi. Słońce przygrzewało w najlepsze, gdyśmy wyjeżdżali z dworka, w lesitej dopiero kotlinie przyjemny owionął nas chłodek. Mała nasza kawalkata, stanąwszy w cienistym ostępie, żywo zaczęła się krzątać. Konary długoletnich sosen i grabów splatały się nad nami w nieprzejrzane okiem sklepienia, ciemnym mchem zarosłe skaliste ściany ostępu zacieśniały widnokrąg. Bystry ruczaj wił się u stóp naszych. Naradzaliśmy się gdzie i jak rozłożyć się taborem. Zdania były podzielone: Frania a za nią i Wujenka, głosowały za ostępem, Wujaszek z Andzią przechylali się ku Leśniczówce. Zostawiając wreszcie decyzyę starszym, my, młodzi rozbiegliśmy się w różnych kierunkach po lesie.

— Dokąd? gdzie? po co? wołała Wujenka.

Wujaszek zrzędził po trochu, szydząc z romantycznego, jak nazywał, pomysłu zabawy w głuszy boru. Wujenka uśmiechała się, miarkując zapędy mężowskie.

— Dla dziewcząt się to robi, upominała łagodnie chciałżebyś ojcze zamknąć je jak ptaszyny wklatce? Sam polujesz, pełno cię na jarmarkach, a one pacierze niech klepią niebogie...

— Ale... ale... dziewczęta moje to skarby.. przyjdzie i dla nich czas, zobaczysz...

— Stara piosenka, mruknęła matka, a tu czas leci jak na skrzydłach...

— A cobyś też powiedziała Tekluniu, gdyby tak pan Teofil...

Nie dosłyszałem więcej, pociągnęły mię za sobą dziewczęta. Kilkadziesiąt zaledwie uszliśmy kroków, gdy wołać zaczęły kuzynki:

— Pan Teofil! Pan Teofil!

W rzeczy samej, prowadząc za trzęzlę wierzchowca, zwolna kroczył ku nam Leśniczy.

— Nareszcie! z rodzajem wymówki rzekła Andzia, pierwsześmy stanęły w ostępie.

— Pole więc ostrzelane, z uśmiechem odparł, a jam niewolnik...

— Przynajmniej nie mój... jakby w oczekiwaniu gorętszego słówka, zawołałem.

— Dokąd idziemy? jaki program? nie odpowiadając wprost na zarzut, zaczął pan Teofil.

— Bez celu... bez naprzód obmyślanych projektów, jak pan uważa, wtrąciła Frania.

Pan Teofil spojrzał na nią bysto, i drobną ścisnął rączkę. Nietrudno mi było dostrzedz we wzroku jego całą gammę zachwytu, uwielbienia... miłości.

— Cóż robimy z sobą? niecierpliwiła się Andzia, tak stać, przestaje być zabawnem!

— Zwróć się z pytaniem do Frani, westchnęła Joasia, ona tu króluje w kniei...

— Wracajmy do mamy, zjemy tam przynajmniej podwieczorek, jak myślisz Franiu?

Nie było odpowiedzi ruchliwa jak gazella pustyni pobiegła gdzieś Frania naprzód... towarzyszył jej pan Teofil.

Skrzywiła się Andzia, westchnęła znowu Joasia, ja, złorzeczyłem majówce, klądem siebie i świat cały... Niemniej jednak posłuchaliśmy z Joasią rady Andzi, i gdyśmy się znowu w ostępie znaleźli, szary już mrok stał się dokoła. Rozniecono ogień: zastawiony specyalikami improwizowany stół, zapraszać zdawał się gości, samowar syczał w najlepsze. Zrobiło się gwarno w kniei, rozprawiając każdy o swojem, gałęźmi podsycaliśmy ognisko. Podwieczorek zgromadził rozproszonych w jedno kółko, u jednego stołu. Pan Teofil nie odstępując Frani, usiadł między nią a Wujaszkiem... Szeptali tam coś z sobą, Frania uśmiechała się, patrząc mu w oczy trzęsła główką niekiedy. Leśniczy, zapominając o świecie bożym, zdawał się być za życia w niebo wziętym, taki wyraz słodyczy i szczęścia na jego malował się obliczu. Krew biła mi do głowy, w uszach dzwoniło, nie rozumiałem o co mię kto pytał przy stole.

— Dość już męczarni! zawołałem wreszcie w duchu. On ją kocha... a mogęż ręczyć i za Franię? Domysł stawał się pewnością... zbliżała się chwila stanowcza. Teraz nienawidziłem pana Teofila: sięgał on po skarb mój... Składając się bólem głowy, wstałem od stołu, i unikając natrętnych rad i pytań w najciemniejszym skryłem się kącie ostępu. W tej chwili mały czerwonawy płomyczek przemknął się między suchemi gałązkami stosu, rozświetlając dokoła knieję. Zamajaczała tam na kilka kroków przede mną kobieca sylwetka..

— Co ci to kuzynku, tyś chory? zadźwięczał mi nad uchem głos Frani... Zdawało mi się, iż ziemia wiruje ze mną, żem wyobraźni stał się igraszką... Wzięła mię za rękę jak lód zimną, oprzytomniałem.

— Czesiu, co się z tobą dzieje? zaniepokoiła się żywo. Spostrzegłam iż wstałeś od stołu, ojciec tam starą jakąś odgrzebał historyjkę i opowiada ją panu Teofilowi, ja biegnę co tchu, na konwessatę wziąć braciszka...

Ogień buchnął znowu żywiej, iskry się posypały wysoko, po nad szczyty drzew. W miarę rozszerzającego się płomienia coraz piękniejsze przed oczyma naszemi odkrywały się widoki. Coś fantastycznego, wspaniale dzikiego, uderzało w obrazie leśnego ostępu.

— Wspaniały widok! zawołała nie mogąc się oprzeć wrażeniu. Tyś poeta, Czesiu, nieprawdaż?... i jakby wyrzucając sobie ten zwrot do innego przedmiotu, dodała śpiesznie, braciszku powiedz co tobie?

W mowie jej tyle było przymilenia, tyle wdzięku i niekłamanej szczerości, iż za serce schwycony, sam nie wiedziałem co począć...

Spuściłem oczy w ziemię, i jak winowajca przed trybunałem sędziego, na słówko zdobyłem się zaledwie:

— Mnie? wyjąkałem, mnie, pytasz Franiu? jam chory... to jest tęskno mi czegoś...

Położyła różowy paluszek na ustach, jakby w oczekiwaniu co powiem dalej.

— Mnie tęskno. mówiłem, nabierając otuchy i sił w jej obecności, tak, szczęście moje jedyne!... Franiu! nie czytaszże w moich oczach tej walki, jaka wre w duszy mej? Franiu! tuląc do ust białą rączkę dziewczęcia, szepnąłem ciszej, ja ciebie kocham, jak kochać można, gdy się jest młodym. . całą mocą uczucia. Tyś życiem mojem... aniele mój, wszystkiem tyś dla mnie na świecie.

Zbrakło mi tchu w piersiach, pulsa żywem tętnem biły w skroni, usta drżały, oko płonęło.

Usunęła rękę z palącego uścisku mych dłoni. Twarzyczka jej, spokojna dotąd i swobodą dysząca prawdziwego wesela, raptem pobladła.

— Czesiu! zawołała głosem drżącym od wzruszenia, nie do siebie ja już należę... Ty kochasz mię? Boże mój! jam tu niewinna... stało się zadość życzeniu rodziców... Czesiu! oddawna układano już małżeństwo moje z panem Teofilem... Człowiek to zacny, szlachetny... i... kocham go...

Odwróciła się, jakby chcąc ukryć uczucie litości, powstające w jej sercu dla mnie.

Milczałem jak skamieniały.

Po krótkiem wahaniu błysnęła złotawa źrenica czarodziejki, i rączki mi swe na szyję zarzucając, przyciągnęła mię do siebie bliziutko: gorący pocałunek spoczął na czole mojem...

— *Pierwszy ten pocałunek* siostry niech wiarą

się ukrzepia: Czesiu, ty jeszcze będziesz szczęśliwy!

Kłęby dymu rozdzieliły nas... Ból serdeczny w obfitym wylał się łez potoku. Wsparty o stary pniak jakiś zasłoniwszy chustką oczy, łkałem jak dziecię... Gdy po jakimś czasie, całą kompanią otoczyliśmy ognisko, zwolna już ono tlało słabem świecąc zarzewiem. Głownie się dopalały, węgle rozsypując się w popiół, zrzadka błyskały płomykiem, ciemność zapanowała w kotlinie. Zabierano się już do powrotu...

Prawdę powiedziała Frania, niefortunnie zacząłem a jeszczem smutniej sielankę moją skończyłem. Pan Teofil deklarowanym tedy został narzeczonym jej, jak i kiedy się to stało, cóż mogło mnie obchodzić? To pewna, iż tegoż jeszcze wieczoru walna odbyła się narada między Wujostwem. Uszczęśliwiony wyszedł z niej Wujaszek, dziękczynną słała niebu modlitwę matka Frani. Co się ze mną działo, potrzebujęż opowiadać? Późno w noc, pamiętam, zrozpaczony, rozszalały z bólu i niemocy, wybiegłem z izdebki mej do ogrodu, by świeżego zaczerpnąć powietrza... Jak *anima damnata* po samotnych błądziłem alejach.. sam, z myślami mojemi, co iście jak sępy Prometeuszowe szarpały mi pierś, wierciły w mózgu... Chwilami uczuwałem cóś jakby szczerą ochotę w łeb sobie palnąć gdzieś w gąszczu zdala od oka ludzkiego. Wspomnienie tylko matki mej kochanej, serdeczne jej słowa w dzieciństwie wpajane, jak rosa ożywcza spadając w wulkan pożerający mię całego, szaloną wstrzymały dłoń... Wróciłem znękany wprawdzie, z głuchim jękiem w piersi, z mocnem jednak postanowieniem, iż żyć mi wypada i stawić czoło cierpieniom... Spojrzałem na wiszącą u wezgłowia mojego starą lepużówkę... Rzecz dziwna! w świerkowej alei uśmiechała mi się jak wierny przyjaciel, w niej tylko ucieczkę jedyną upatrywałem. Teraz, odwróciłem się od niej ze zgrozą. Nie z zajęczego to jednak serca powstało, demon obrażonej miłości własnej szepnął mi w ucho:

— Głupcze! beczałeś jak żak, łbem gotoweś był tłuc o mur z rozpaczy, puściłbyś życie z dymem wystrzału... Po co? dla czego?... Za piękne marzenie?...

Zimny rozsądek zaczynał brać górę nade mną.

— Kochałem ją, prawda, stawiłem już sobie pytanie, lecz miałżem z miłości mej jedną bodaj jaśniejszą chwilę. Wzajemność Frani nie chorobliwemże była urojeniem?

— Piękna Frania! powtarzał mój natręt, lecz cóż ci po niej?

Leśniczy jest partyą, tyś student bez stanowiska i grosza przy duszy! Masz głowę na karku... ha! i całą torbę dobrych chęci? Cóż potem... brakują niemi piekło!... Płonęły mi lica... Księżyc, przedzierając się we framugę okna, srebrnym zaglądał mi w oczy promieniem. Przerażały mię drżące jego błyski, zapaliłem więc świecę, i na pierwszej z brzega ćwiartce papieru, jąłem wylewać moje uczucia... Żegnałem Franię na zawsze... dziś bowiem jeszcze, w tajemniczych cieniach nocy miałem opuścić Raczki: skończyłem wreszcie, wstawałem od stolika i znowu doń wracając, byłem podobny do człowieka co pragnie czegoś gorąco i razem się boi przesądnie. Spakowałem rzeczy z gorączkowym pośpiechem i wcale już nie myśląc o następstwach mojego kroku, na dobrą godzinę przed świtem, z tobołkiem w ręku przerzynałem się lesistą ścieżką wiodącą do najbliższego miasteczka... Przeważyła się więc szala moich losów... stanąłem wkrótce w Warszawie. Upłynęło długich kilka miesięcy, taż sama bieda: ni studyom się oddać na serio, ni myśli znaleźć swobodnej, ni zwierzyć się wreszcie komu z troską, co ołowiem zda się pierś przygniata. W rozterce z sobą samym, zdala od ludzi, samotne a ciężkie spędzałem godziny. Szydzili ze mnie koledzy, łajali wreszcie, aż w końcu, bzikiem mię okrzyczawszy, odsunęli się ode mnie... W tym przeciągu czasu nie miałem żadnych z Raczek wieści, nie wiedziałem co myślano tam o mojej „donkiszoteryi“ a nawet schowałbym się bodaj pod ziemię, kogoś ze stron tamtejszych spotkawszy. A Frania? Szczęśliwa, z gałązką mirtu w złocistych włosów pierścieniach, na ślubnym stanęła kobiercu. Znane dobrze dalsze już dzieje biednego serca mojego. Nie kochałem już nigdy odtąd. Wikcie, Julki i inne różowe buziaczki, zaludniały wprawdzie imaginacyą moją, przemawiały do zmysłów... trwało to jednak chwilę zaledwie. „Pierwszy pocałunek“ magiczną zaciężył mi mocą zaklęcia, nie sprawdziła się wróżba Frani: nie zaznałem już szczęścia... Powtarzam często z Musset'em:

„Aimer est le grand point...
Qu'importe le flacon, qu'importe la maitresse.
Pourvu qu'il y ait l'ivresse.“

W duchu jednak gorzko się śmieję z tej strasznej ironii życia... „Pierwszy pocałunek“, najmilsze to dla wielu wspomnienie rajskiej chwili... promiennych błysków szczęścia; dla mnie... to rozczarowań początek... Czy będzie tak dalej, w nieskończoność... nie wiem i wiedzieć nie pragnę... Kilka dni temu przypadkowo, w jednym z ogrodów spotkałem szczęśliwą parę, kobieta niewysłowionym świeciła wdziękiem, śmiały się jej oczy, szeptała coś do mężczyzny... on, człowiek już nie pierwszej młodości, patrzył w nią jak w tęczę i zdawał się chlubić ze swego skarbu przed światem. Para stanęła raptem, spojrzeliśmy sobie w oczy.

— Czesław! kuzynek! zawołała kobieta, i żywy karmin oblał jej lica.

— Aaa... któżby się spodziewał! co za spotkanie! wyciągając mi rękę na powitanie, powtórzył mężczyzna.

Czerwone płatki zaczęły mi się kręcić przed oczyma... miałem szczerą chęć uciec gdzieś daleko.. czary jakieś nieznane przykuwały mię do miejsca...

— Cóż? jakże? szczęśliwyś też kuzynku? zaszczebiotała pani Teofilowa... Nie pamiętam już, com odpowiedział na razie... faktem jest, że każdą odtąd wolną chwilkę towarzystwa jej poświęcam. Zdaje mi się nawet czasami, że mógłbym być jeszcze szczęśliwym. Ale to złudzenie, najzupełniej, złudzenie...

— Cóż? nie ożeniłeś się jeszcze, panie Czesławie? spytał mąż Frani...

— Wiesz, kuzynku, jednocześnie wtrąciła młoda kobieta, Joasia w klasztorze i znaczącą zrobiła minkę.

Dziwna pokrewność losów! pomyślałem w duchu, biedna marzycielka, ideał swój, w samotni, w nadziemskie stroi barwy... i spokój znajduje, ja... usiłowałem go wygnać z świątyni ducha... i cóżem lepszego uczynił.

— Ha! trudna rada, zawołałem z szczerem współczuciem, a przyjaciel powolny słuchacz moich żalów i udręczeń dodał, słoneczna w tobie natura, mój Czesiu: ogrzewasz i palisz.. dajesz wiele, w zamian mało albo nic zgoła nie odbierając...

— Możeż być inaczej! rzucając się w objęcia entuzyasty... zawołałem takie już prawo miłości!...

— Ostrożnie z niem jednak.. ostrożnie, raz jeszcze powtarzam: rwą się struny, gdy lutnia echem wspomnień zadźwięczy...

Juliusz Chodorowicz.

Śpiewakowi.

Czemu tak milczysz już dzionek cały,
Słowiczku mój?
Czy cię zabolał gardziołek mały?
Czy zmęczył znój?
Czy ci skrzydełka z szybkiego lotu,
Opadły mdłe?
Żeś tak umilknął, może cię oczy,
Urzekły złe?
Lub cię znudziły równiny nasze,
Nasz gęsty las?
Albo zranione serduszko ptasze,
Że rzucasz nas?
Twoje piosenki były nam drogie,
Słowiczku wiesz,
Boś w sercą wlewał uczucia błogie,
Dziś uciec chcesz.
Jak ty odlecisz, radość ominie,
Daleko tam.
Któż tęskną piosnkę w szarą godzinę,
Zanuci nam?
Oj szkoda piosnek śpiewaku miły,
Na obcej ziemi snuć,
Szkoda uczucia młodzieńczej siły,
Wróć się więc do nas wróć.

M. K.

Wiadomości z dziedziny nauki.

Przed trzema miesiącami, lotem błyskawicy rozbiegła się po świecie wieść o cudownej lampie Edison'a, jako zapowiedź wynalazku mającego oddziałać silnie na uszczęśliwienie ludzkości. W jego lampie elektrycznej, zastosowane miały być bieguny ze zwęglonej tkanki papierowej, zamiast drutów platynowych jakich dotąd używano. Miał zarazem Edison wynaleźć odpowiedni do użycia tej lampy regulator, słowem rozwiązać zadanie oświetlenia elektrycznego, *we wszystkich szczegółach jego zastosowania*. Owa podkówka z tektury miała płonąć jasno i nieustannie przez 360 godzin, a cała lampa zastosowana do pokojowego użytku, kosztować ma tylko... czterdzieści groszy. Nic dziwnego że tysiące ciekawych przyglądało się z zachwyceniem przepysznej iluminacyi Menlo-Parku, że tysiące niezdolnych zdać sobie sprawy krytycznej, uwierzyło od razu w ową cudowną lampę. Poważne naukowe dzienniki angielskie i francuzkie, a z naszych pism „Przyroda i Przemysł“ ostrzegały aby nie wierzyć ogłoszeniom dopóką nie będą znane dokładniejsze szczegóły wynalazku, a 12 stycznia r. b. na posiedzeniu paryzkiej Akademii Nauk p. Du Moncel oznajmił: że oddawna wpadł na pomysł stanowiący zasadę owej słynnej lampy, ale przekonał się iż w zastosowaniu jest ona niewiele warta.

Obecnie najpoważniejszy z technicznych pism angielskich *Iron* podaje: że sam Edison przekonał się iż tekturowe węgle jego łatwo *ulegają rozpryskiwaniu*, i zaprzestał wyrabiać owych lamp swego pomysłu, dopokąd nie obmyśli innego sposobu.

Jednakże niepowodzenie Edison'a nie odstręcza bynajmniej uczonych przyrodników od przedsiębrania coraz nowych dochodzeń i prób oświetlenia elektrycznego. Wiadomo że jeźli chodzi o wytworzenie jednego wielkiego ogniska, o potężnej sile światła,

wtedy oświetlenie elektryczne przedstawia znakomite korzyści i żadne inne światło dorównać mu niezdoła; lecz jeźli chcemy z jednego źródła zapalić wiele świateł o mniejszej sile, wówczas wielkie koszta oświetlenie, takie czynią niepraktycznem. Obecnie *Molero i Cebrian* z San-Francisco, obmyślili zupełnie nowy sposób bezpośredniego podziała światła elektrycznego. Wytwarzają potężne ognisko światła a następnie dzielą na części i rozprowadzają dowolnie, nie prąd elektryczny, ale same promienie światła. Podajemy w krótkości tę nową metodę.

Jeźli np. chcemy oświetlić jakiś budynek, w tym celu ustawimy w odpowiedniem miejscu, np. w suterenach, maszynę magneto-elektryczną, wytwarzającą za pomocą pary silny prąd elektryczny, zapalającą jedną lampę o sile kilku tysięcy płomieni gazowych. Ognisko światła mieści się w środku sześcianu, którego ściany tworzą soczewki wypukłe, skutkiem których promienie światła biegną równolegle, nie rozpraszając się w przestrzeni. Ze wszystkich ścian wybiegają zeœrodkowane pasma światła o równoległych promieniach. Jeźli promienie zmuszone są do równoległego biegu, wtedy stosunkowo bardzo mało tracą na sile nawet wielkiej przestrzeni, a strata wynika głównie od absorbcyi powietrza i od rozproszenia. Dokładne urządzenie może ograniczyć ją, do niewielkiego minimum.

Oto jak pp. Molero i Cebrian zużytkowują tę własność w celu praktycznego oświetlenia. Zwróćmy uwagę na przebieg jednego z pasm światła rzucanego przez soczewkę, np. idącego pionowo do góry, zamkniętego w rurze przeprowadzonej przez wszystkie piętra. Już na wysokości parteru część pasma w rurze pada na pryzmat, ktory je załamuje i rzuca w kierunku poziomym. Od pasma więc pionowego oddzieloną została pewna część, i ta w postaci pasma poziomego o mniejszej sile, przechodzi przez rurę pionową umieszczoną w suficie. W przebiegu po nad salonem znajduje się pryzmat, odbierający z kolei rzeczy pewną część pasma i rzucający je na reflektor oświetlający salon. Pozostała część przechodzi dalej i rozdziela się na inne pokoje. Widzimy że zachodzi tu niejakie podobieństwo z rozdzielaniem po piętrach wody i gazu za pomocą rur i kranów, z tą różnicą że rury muszą być proste, a kurki zastępują pryzmaty i reflektory. Tym sposobem główne pasmo pionowe użyte w części do oświetlenia parteru, może zarówno służyć do oświetlenia wszystkich pięter, inne zaś główne pasma wychodzące do ogniska w suterenach, mogą posłużyć do oświetlenia lamp przed domem; na ulicach, w ogrodzie i t. p.

Odpowiedniem ustawieniem soczewki, można w każdej chwili dowolnie regulować w pokoju ilość światła, oraz zmieniać według upodobania barwę oświetlenia, gdyż soczewki mogą być kolorowe.

W teoryi metoda ta wydaje się dobrą, nie ma jednak dotąd pewnych danych czy da się zastosować praktycznie, gdyż żadne z pism naukowych nie wspomina dotąd o próbach z tak obmyślanem oświetleniem.

Nauka i jej zastosowania coraz nowe oddają usługi przemysłowi. W końcu r. z. w Anglii, pan Siemens wynalazł sposób hartowania szkła, głównie zasadzający się na tem że jeżeli tak zahartowane pęknie to tak równo jak żelazo, ale nie rozpryskuje się w kawałki. Jest ono najpośledniejszego gatunku i można odlewać je w dowolnej formie. W Anglii robiono liczne doświadczenia na kolejach z zastosowaniem tego szkła na podkłady zamiast drzewa. Poddawano próbom podobne podkłady mające w przecięciu 4 cale szerokości a 6 grubości, i okazało się, że potrzeba pięciu tysięcy kilogramów (125 centnarów) ciężaru, dla złamania podkładu opartego swobodnie na dwóch podporach, odległych od siebie o 30 cali. Jest to opór równający się prawie dwom trzecim oporu dobrego podkładu sosnowego; ale ma tę nad nim wyższość iż opór drzewa słabnie prędko od wilgoci, szkło zaś nie podlega zmianie. Gdy próby wydały zadawalniający rezultat, położono szklanne podkłady w Stratford. Odległość między podkładami wynosi trzy stopy, na wierzchu mają wręby w których leżą relsy. Tam gdzie łączą się dwa relsy, podkłady opierają się na płytach surowcowych dla uniknienia zaklęśniecia; płyty te służą zarazem do przytwierdzenia relsów, a tak unika się robienia otworów w szkle. *Engineering* podaje że w hucie p. Henderson robiono próby wytrzymałości płyt ze szkła hartowanego Siemens'a. Na płytę mający 9 cali kwadratowych a $1^1/_8$ grubości, zagrzebaną w piasku i przykrytą deseczką grubości $^1/_8$ cala, na której oparto koniec relsa, spuszczono z różnych wysokości, a mianowicie od 3 stóp do 20 ciężary około $10^1/_2$ centnarów; pod spadkiem ciężaru z ostatniej wysokości rels pękł, ale szkło pozostało nienaruszone. Cena szkła nie jest niższą od lanego żelaza, ale ponieważ właściwy ciężar szkła jest trzy razy mniejszy, zatem podkłady szklanne zupełnie jednakowych wymiarów, kosztują trzy razy mniej niż z lanego żelaza.

Jeźli próby odbywane były ściśle i dokładnie, to wynalazek p. Siemens'a nader ważne przemysłowi oddać może posługi.

W dziedzinie medycyny coraz nowe następują odkrycia. Pisma niemieckie podają że doktór Nitze, z Drezna, obmyślił przyrząd z pomocą którego można oświetlić wnętrze ciała ludzkiego, a przynajmniej znaczne przestrzenie pęcherza i żołądka. Na ostatnim kongresie doktorów i przyrodników w Baden-Baden, robiono doświadczenia z różnemi podobnemi przyrządami przedstawionemi przez inżyniera Gustawa Trouvé, z Paryża. Z tej okoliczności wyrodził się spór o pierwszeństwo wynalazku. Pan Trouvé dowodził że przyrząd taki przedstawiał już w r. 1873 na wystawie Wiedeńskiej, a następnie go wydoskonalił; bezstronni są zdania że doktór Nitze wpadł jednocześnie na ten pomysł, nie wiedząc nic o wynalazku francuzkiego inżyniera. Jednakże obaj ustąpić muszą pierwszeństwa pomysłowi p. Bruck, doktorowi z Wrocławia, który przedstawiał go uczonym jeszcze w 1867, lecz gdy odpowiedziano mu że praktyczne zastosowanie wynalazku jego jest niemożebnem, nie ogłaszał swego odkrycia. Nie wiemy czy i o ile obmyślony przyrząd okaże się praktycznym.

Przy końcu roku zeszłego na ostatniem posiedzeniu towarzystwa naukowego w Glasgowie p. James Mac-Tear oznajmił że udało mu się otrzymać węgiel w postaci czystych kryształów czyli wytworzyć sztuczny dyament i że rezultat swoich doświadczeń przesłał profesorom Tyndal, Szmit i innym uczonym. Dowiedziawszy się o tem, tamtejszy konsul francuzki zawiadomił o tem niezwłocznie ministra spraw zagranicznych w Paryżu, który przesłał tę wiadomość Akademii Nauk. Wieść o tem lotem błyskawicy rzbiegła się po świecie. Ów sztuczny dyament oddano w Anglii do zbadania panu Maskelyne, kustoszowi oddziału mineralogicznego w Muzeum Brytańskiem, i po odbytych doświadczeniach okazało się, że trzynastoletnia praca pana Mac-Tear była zupełnie bezużyteczną. Kamienie jego umieszczone między szafirem i topazem po niejakim czasie w pył się rozsypały, nie zostawiając żadnych śladów na szafirze ani na topazie. Pozostawione na noc w kwasie wodo-fluorowym, do rana rozpuściły się zupełnie; nie palą się także jak dyament. Dnia 9 lutego r. b. minister oświecenia publicznego w Paryżu przesłał Akademii Nauk zawiadomienie, iż nareszcie i sam pan Mac-Tear przekonał się że dyamenty jego nie mają nic wspólnego z rzeczywistą przyrodą kosztownego minerału i że są jedynie krzemionami.

Kilka miesięcy temu, profesor Graydon, z Cincinati, zastosował elektro-mikrofon do nowego przyrządu dla głuchoniemych, zwanego *audilonem*. Przyrząd ten stanowi niewielki elektro mikrofon, w którym od środka diafragmy idzie sznurek dowolnej długości, na którego drugim końcu przyczepiony jest kawałek drzewa. Osoba dotknięta głuchotą bierze w zęby ten kawałek drzewa, a pragnący z nią rozmawiać mówi do mikrofonu, trzymając sznurek naprężony. Wtedy głuchy, zamiast przez uszy słyszy za pośrednictwem zębów, to jest przez nerwy zębowe i kości twarzy dzwięk przenosi się do nerwu słuchowego, a przez niego dochodzi do mózgu. Audifon jednak wtedy tylko działa skutecznie jeźli głuchota jest wynikiem choroby, gdyż wtedy nerw słuchowy dla zwykłej drogi jest niedostępny, lecz jeźli jest zupełnie porażony, przyrząd jest bezskutecznym.

Niedługo potem, pan Rhodes, także pochodzący z Chicago, obmyślił inny audifon daleko prostszej konstrukcyi, a próby dokonywane w wielu amerykańskich zakładach dla głucho niemych, wypadły bardzo pomyślnie, i p. Rhodes uzyskał patent. Przyrząd jego składa się ze stucznie stwardniałego kauczuku, a kształtem przypomina ekram kominkowy. Jest to tabliczka twardego kauczuku, 12 cali długa a 8 szeroka, osadzona na trzonku z tegoż kauczuku. Trzy jej boki przyległe trzonkowi są prostokątne, czwarty wycięty jest w łuk kołowy, na zewnątrz wypukły. Do wierzchołka tego łuku przymocowane są sznurki, przechodzące następnie przez otwór znajdujący się na końcu trzonka. Opierając koniec tak zgiętego trzonka o zęby szczęki górnej, osoby głuche słyszą wyraźnie tony muzyczne i mowę. Głuchoniemi u których nerw słuchu nie uległ zupełnemu zamarciu odrazu prawie rozróżniali wysokie i nizkie tony muzyczne a nawet dźwięki głosu ludzkiego obok przyrządu wydawane. W Stanach Zjednoczonych, audifon p. Rhodes znalazł uznanie kompetentnych i obiecują sobie po nim błogie skutki przez zastosowanie go do nauki głuchoniemych, a tem więcej dla osób mających słuch jedynie przytępiony.

Znany genewski inżynier i fizyk, p. Celladon, który sam ma słuch bardzo osłabiony, wypróbowawszy i przekonawszy się o pochwytności dźwięków audifonu p. Rhodes dla przeprowadzenia ich do wewnętrznych organów słuchu, nie wątpiąc o jego użyteczności uważał jednak że ma dwie wady: najpierw cenę nie każdemu dostępną, gdyż kosztuje 10 do 15 dolarów, a powtóre nietrwałość, gdyż kauczuk kruchy jest i nie znosi zimna: postanowił więc próbować urządzić przyrząd podobny z tańszego materyału. Po wielu daremnych próbach, znalazł nareszcie pewien gatunek cienkiej walcowanej tektury, dającej takież same wypadki jak stwardniały kauczuk a z której wyrobiony przyrząd; o jednakiej sile akustycznej, mógłby kosztować — 50 centów. P. Celladon pracuje ciągle nad udoskonaleniem tych kartek brzmiennych, oraz nad możliwością połączenia kilku kartek tych w jeden przyrząd dla uzyskania silniejszej działalności.

Doświadczenia robione z głuchoniememi, miały wydać pomyślne rezultaty, niektóre wykazały że wyrazy wymówione tuż przy audifonie, słyszane były a po pewnej wprawie nawet powtarzane przez głuchoniemych. Dla osób mających słuch przytępiony i nieznoszących wkładania w ucho ciała twardego, tekturowy audifon p. Cellendon może za-

stąpić korzystnie trąbkę akustyczną, a jest bez porównania tańszy. Po wysłuchaniu sprawozdania paryzka Akademia Nauk uznała ważność jego przyrządu, mogącego wielkie oddać usługi ludzkości.

Nadmienić jednak musimy, że próby dokonywane w naszym Instytucie Głuchoniemych z audifonem wykończonym w Warszawie według wskazówek p. Celladon, do żadnych nie doprowadziły rezultatów: może przyrząd nie był dość dokładnie wykończony.

Przegląd literatury zagranicznej.

Daniel Rochat

Komedya w pięciu aktach

przez **Wiktora Sardou.**

Wspominamy często z urąganiem o wiekach średnich, ze zgrozą lub uśmiechem politowania o walkach religijnych, o sporach teologicznych i t. p. dawnych zabytkach a nie zwracamy uwagi na pewnego rodzaju podobieństwo czasów obecnych z obecnemi. Pisząc z Paryża mamy przedewszystkiem na myśli Francyą gdzie dawniejsze walki przedłużono aż do dnia dzisiejszego w zmienionej tylko formie: nie walczą już z sobą różne wyznania chrześciańskie, ale w ogóle religia ściera się ustawicznie z bezreligijnością.

Stolica nadsekwańska jest niewątpliwie głównem ogniskiem najbardziej jaskrawych ostateczności.

Można tam napotkać zamarłe mumie przedpotowe, a z drugiej strony umysły zanadto przedsiębiercze, chcące usunąć wszelkie podstawy religijne, i oprzeć gmach społeczny jedynie na wyrobach rozumu człowieka. Nie mylmy się. Twórcom nowej szkoły nie chodzi wcale o jakąś reformę religijną w mniejszym lub większym zakresie; o pogodzenie wiary z rozumem religii z nauką, samodążność taka zaliczaną jest do przesądów średniowiecznych: chodzi im ani mniej ani więcej tylko o zniweczenie wszelkiej wiary w duchową stronę człowieka, a tem samem o zniesienie wszelkich następstw tej wiary tak pośrednich jak bezpośrednich.

Bezreligijność zupełna niezgodna jest z rozumem, jak więc wytłomaczyć podobny objaw? Zjawiska społeczne mają często przyczyny nader odległe.

Chcąc wytłomaczyć walkę obecną toczoną we Francyi, potrzebaby cofnąć się aż do wieku XVIII, przypomnieć pracę encyklopedystów, następnie wielką rewolucyą wiodącą duchownych na rusztowanie, a następnie restauracyą i Ludwika XVIII-go rozwijającego o ile możności uczucia religijne, w zamiarze pozyskania wsparcia dla chwiejącego się tronu królewskiego. Te trzy okresy dziejowe zestawione razem, tłomaczą dokładnie walkę dwóch przeciwnych obozów. Tak jak w wiekach średnich różne wyznania chrześciańskie tak obecnie religia i bezwyznaniowość są wyrazem dwóch przeciwnych obozów politycznych.

Z tego tylko stanowiska patrząc na rzecz, można zrozumieć zaciętą walkę stronnictw, w której religia jest kozłem ofiarnym dla stron obydwóch.

Krańcowi republikanie francuzcy, owi radykaliści szaleni pragnący świat odrazu wepchnąć na tory dalekiej bardzo przyszłości, dziś nawet domysłem nieodgadniętej, dostrzegając poparcie udzielane przez duchowieństwo francuzkie monarchistom, usiłują o ile możności osłabić uczucia religijne w całym narodzie, aby wraz z powagą dogmatów zniweczyć znaczenie ich przedstawicieli.

W tym celu w opracowaniach niby poważnych, naukowych, rozwijają jak najgrubszy materyalizm, podnoszą gruby błąd oznaczenia w człowieku dwóch pierwiastków ciała i duszy, kiedy dusza jest zmyśleniem a jedyną prawdą materya. Wprawdzie ten podział dokonany był jeszcze przed Chrystusem przez filozofów greckich, ale polityczną jest rzeczą odnosić wszystko złe do zasady, którą usiłujemy obalić.

Kto zna społeczeństwo francuzkie ten wie dobrze, że bezwyznaniowość jest tylko piętnem drobnej jego cząstki. Ogół, mówimy tu o trzydziestu sześciu milionach ludności, jest szczerze religijnym.

Damy na to dowody niezbite. Wszelkie czynności dotyczące tak nazwanych aktów stanu cywilnego dokonywane są we Francyi przez burmistrzów miast. Każden kto chce może przestać być chrześcianinem, prawodawstwo francuzkie żadnej temu nie kładzie przeszkody. Nie jest wcale wymaganym akt chrztu ale akt urodzenia, śluby cywilne są obowiązkowe, nie zostawiono wcale wyboru łączącym się parom. W tym stanie rzeczy wszelki obrzęd religijny jest wypływem tylko dobrej woli mieszkańców, pomimo tego a może właśnie dlatego, otoczone są one we Francyi wielką uroczystością, może nawet większą niż w innych krajach gdzie należą do liczby przepisów obowiązkowych. Bezwyznaniowość nie wniknęła wcale do wnętrza narodu francuzkiego i spoczywa tylko na jego powierzchni. Co innego mówi wzburzona wyobraźnia co innego uczucie i rozum, nakazujące szanować dawne podstawy społeczne. Nie zbywa jednak na gorliwych apostołach usiłujących wprowadzić w czyn nowe zasady bezwyznaniowości.

Dzienniki właściwego stronnictwa, podają z przechwałką wszelką wiadomość o zawartym ślubie cywilnym bez błogosławieństwa kościoła, również jak o pogrzebach dokonanych wśród kwiatów nazywanych nieśmiertelnikami *). W pewnych kołach tego rodzaju oznaką cywilnej odwagi, daje pewne uznanie i powagę, będąc niejako świadectwem przekonań liberalnych. i szczerego zamiłowania zasad republikańskich.

Wstęp powyższy konieczny był dla zrozumienia nowego utworu pana Sardou. Autor ułożył pięcioaktową komedyę Daniel Rochat na tle walki dwóch przeciwnych obozów, walki w zarysie nader obszernym, ponieważ ślady jej można dostrzedz w pośród wszystkich prawie ludów ucywilizowanych. Tym sposobem wprowadzone zostały nowe żywioły na deskę teatralną. Dotychczas w znaczeniu politycznem walka demokratów z arystokratami, monarchistów z republikanami, dawały natchnienie dla pisarzy dramatycznych, pan Sardou nie chcąc stąpać ścieżką ubitą, wskazuje nową prawie nietkniętą, a nader ciekawą stronę umysła człowieka i walkę namiętności z wymaganiami stronnictwa wolnomyślących.

Treść sztuki następująca.

Deputowany francuzki Daniel Rochat jest ozdobą skrajnej lewicy izby i gorliwym apostołem bezwyznaniowości.

W tym celu odbywa nawet częste podróże, urządzając w różnych stronach odczyty, mające na celu rozszerzanie nowych wyobrażeń. W czasie swego pobytu w Szwajcaryi, pozuaje młodą Amerykankę pannę Eleonorę Henderson, zwiedzającą Alpy w towarzystwie ciotki swej pani Pauvers. Zgodność wyobrażeń nowo poznanych osób w wielu względach jest zupełna: zarówno kochają wolność, instytucye republikańskie: swobodę, towarzyską, ale zarówno też nienawidzą widomą głowę katolickiego kościoła. Powody nienawiści są różne.

Amerykanki jako gorliwe zwelenniczki reformowanej religii nienawidzą katolicyzmu; Daniel Rochat jako libre peuseur nienawidzi wszelkich religii bez wyjątku. Nie przyszło jednak do bliższego porozumienia, rozmowy utrzymano w karbach właściwych; deputowany francuzki oddawszy serce młodej panience zaniechał chwilowo szerzenia właściwych sobie zasad. Różnica wyobraźni zarysowaną dopiero została po spisaniu cywilnego aktu małżeństwa.

Dla Daniela Rochat ślub dany przez burmistrza był aż nadto wystarczającym, dla Eleonory Henderson uświęcenie a raczej uprawnienie ich związku nastąpi dopiero za pośrednictwem ceremonii kościelnej dokonanej przez pastora.

Dwoje młodych ludzi znajduje się w szczególnem położeniu, prawnie są niby małżonkami, a w rzeczywistości nie należą do siebie, ponieważ sumienie jednego z nich wymaga innej rękojmi zabopólnego szczęścia aniżeli umowa piśmienna ułożona wedle przepisów kodeksu cywilnego.

Serce republikanki amerykańskiej przejęte jest wskroś uczuciami religijnemi, w takiem usposobieniu nie przyszło jej nawet na myśl, aby małżeństwo mogło być uważane za ważne bez obrzędu kościelnego,

Z drugiej strony republikanin francuzki Daniel Rochat jest nieomal naczelnikiem swego stronnictwa, w ostatku przeszedłby chętnie przez kościół, aby wejść w prawa męża, ale lęka się tak swoich zwolenników, jakoteż i współzawodników; stanowisko jego polityczne byłoby stracone raz na zawsze, gdyby zaprzeczył czynem zasadom wygłaszanym wielokrotnie. W tym razie, wedle przysłowia polskiego trafiła kosa na kamień, żadne z dwojga młodych ludzi nie chce zrobić ustępstwa. Spór ten socyalno-religijny toczy się długo, nader długo, przez dwa długie akta, a mimo talentu autora, mimo nader wymownych rozpraw, mimo nawet dosyć dramatycznej sytuacyi, trudno się uchronić od uczucia pewnego znużenia bardzo z nudami zbratanego. Rozwiązanie konieczne ale jakie? Kto ustąpi, czy republikanka religijna, czy radykalista francuzki bezwyznaniowy? Wybór łatwy do przewidzenia, można bowiem stać silnie jedynie przy zasadach, ale przy braku zasad ściśle określonych charaktery są z konieczności słabe i chwiejne,

Zrozumiał doskonale tę prawdę Sardou i przedstawia swego bohatera gotowego do ustępstwa w sposób może trochę płaski ze względu na sztukę ale ze względu na rzeczywistość bez zarzutu. Daniel Rochat szuka środka ratunku w obłudzie: zezwala na obrzęd kościelny, ale pod warunkiem, aby był tajemnym tak aby nikt o nim nie wiedział, prócz dwojga małżonków i pastora. Zezwolenie pod temi warunkami oburza do najwyższego stopnia Amerykankę jako przyzwyczajoną do największej szczerości, we wszystkich czynnościach swego żywota. Wraz z szacunkiem traci dawniejszą miłość dla swego ulubionego, i nietylko nie domaga się więcej potwierdzenia przez kościół zawartego małżeństwa, ale radaby zerwać je jak najprędzej.

Prawa jednak walczą przeciwko niej: wedle przepisów kodeksu jest małżonką legalną, zniewoloną do posłuszeństwa. Pojmuje obowiązki płynące

---

*) Tak nazwani libres-penseurs, wolnomyślący w czasie pogrzebów przyozdabiają piersi bukiecikami ułożonemi z nieśmiertelników. Nie rozumiemy znaczenia tego godła Czyżby to miało być oznaką wiary w nieśmiertelność duszy? Wiara jednak podobna nie jest zgodną z zasadami czystego materyalizmu.

z tego względu, jako ścisła legalistka nie chce wcale walczyć ze społeczeństwem, gotową jest uledz jego przepisom, ale nie skala nigdy ust kłamstwem.

Pod wpływem takiego usposobienia oświadcza swemu nieszczęsnemu małżonkowi, który dotąd żyje w oddaleniu, że gotowa jest zająć właściwe stanowisko w jego domu, ale czyni to jedynie z poczucia obowiązku, bez najmniejszego przywiązania, jako ofiara prawa i niedokładnego porozumienia się, i żywot jej dalszy płynąć będzie w smutku i boleści, zdala od szczęścia o jakiem marzyła. Nie ma innego środka do wyjścia jak zobopólnie podpisane żądanie unieważnienia małżeństwa, co ostatecznie nie przedstawia żadnej trudności, ponieważ takowe w ścisłem znaczeniu tego wyrazu nie było spełnionem.

Takie jest zakończenie sztuki.

WYSTAWA OBRAZÓW

Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Walery Eljasz. Epizod z podań o Twardowskim. Zdaje się że obraz ten na każdym powinienby zrobić równie miłe wrażenie, jak na nas. Tyleśmy się nasłuchali o Twardowskim! Mistrz ten w *wiedzy*, straszący nią prostaczków *onych* czasów i posądzany o bliskie bardzo i poufałe stosunki z piekłem, każdemu z nas wrył się aż nadto w wyobraźnię, abyśmy dzieje jego życia potrzebowali przywodzić. Wszyscy pamiętamy epizod z legendy o Twardowskim, gdy uczony ten chemik i przyrodnik, dawszy niby słowo duchowi piekieł, co grzecznie u nas dyabełkiem się nazywa, słowo szlachetne, czyli *szlacheckie*, że pójdzie za nim w pewnym terminie popróbować rozkoszy usmażenia się w smole, różnemi potem fortelami starał sie wywijać od spełnienia owego słowa. Przyznać należy że było przed czem się bronić. Otóż p. Eljasz, przedstawił w obrazie swoim chwilę, gdy Twardowski szatanowi za warunek pójścia z nim do piekła, postanowił ni mniej ni więcej, tylko obowiązek skąpania się w naczyniu ze święconą wodą.

— Właź mi tu zaraz! Co mi tam do tego, że ci trudno! A mnie to łatwo będzie w kocioł ze smołą wchodzić?" zdaje się wołać mistrz Twardowski do czarta, palcem ręki wskazując z zadowolnieniem naczynie pełne święconej wody. Twardowski ma na sobie kontusz szkarłatny, minę młodego a tak przystojnego szlachcica, że w każdej z Czytelniczek obudziłby się żal z pewnością takiej twarzy, na zbrudzenie smołą narazić. I z przyjemnością patrzyłaby też na kurcze ciała, na bóle wszystkie, jakich czarcik doznaje, maczając już szponowate nóżki w okropnej dlań wodzie. Nóżki umoczył wprawdzie—ale czy dalej wejdzie? Pytanie to rozwiązuje legenda. Pan Eljasz nie mógł wszystkiego przedstawić. I tego dość co zrobił. Bądźmy mu wdzięczni.

Miły to bardzo — powtarzamy — a i namalowany dobrze obrazek.

Pane Nadzieja. Przystań w Sorento. Kto był we Włoszech — widzi tu Włochy. Tem krótkiem słowem chcielibyśmy okazać artystce uznanie, jakie mamy dla zręcznego jej pędzla. Boć tam może w tym obrazku i znalazłoby się coś do krytykowania. Może księżyc włoski inaczej nieco świeci? Może góry w ogóle inaczej trochę wyglądają, kiedy się patrzy na nie zdaleka?... Może!... Ale—gdzie tu pamiętać o tych wszystkich uwagach, *notabenkach, adnotacyach i krytycznych racyach*, kiedy się widzi te śliczne zielone fale, co płuczą brzegi występu lądowego, na którym stara najpierw budowla dalej szeroki obszar szary, otoczony romantycznie płotem z drzew wkoło i zamknięty w głębi ścianą skał urwistych, w nadzwyczajnie wdzięcznym ładzie się grupują! Czem jednak jeszcze artystka ozdobiła obraz, to namalowanem z rzadką prawdą światłem ognia, który w kilku miejscach, tu w oknach starych murów, tam—po wody wybrzeżu, w lustrze jej się przeglądając, jaskrawo płonie. Osobliwie ogień po lewej stronie lądowego występu, znakomicie oddany. Prawie gorąco jego czujesz, tak się żywo i prawdziwie pali! Łodzie i statki krążą po przestrzeni morza, które lewą całą stronę i dół obrazu zajmuje. Po prawej jest przystań sama, z owemi skałami przy samej już ramie. W głębi—w dali—więcej znowu na lewo bieleją góry rozrzucone malowniczym szeregiem. Niebo ciemno-lazurowe przykrywa ten cały pejzaż miłym cieniem. Księżyc blady sunie po niebie.

Oto—*Przystań w Sorento.*

Artystka nie żałowała pracy i... szanuje sztukę.

Przechodzimy do drugiego przedziału sali.

Pilecki Tytus. Przebudzenie Goplany. Śliczne! śliczne! Zanim jeszcze zastanowisz się co cię tu zachwyca, już cię przyciągnęło do siebie—porwało—uniosło, rozmarzyło i rozrzewniło. Otóż to rozumiem ładny pomysł i wykonanie ładne! P. *Pilecki* jest naprawdę dobrym artystą. Ma natchnienie.

Wystawcie sobie wodę zafarbowaną nieco na zieleń—po wodzie, wszędzie na podobieństwo jakiegoś sielankowego ogródka, wznosi się wysokie sitowie. Śród niego i po nad niem—niewiadomo *jak* zresztą —pół pozornie w powietrzu, pół na gruncie dna wody, unosi się w siedzącej nieznacznie pozie, postać niewieścia. Przezroczyste to i białe i blade że zda się za chwilę w mgłę się rozpłynie! A ładne! a różowe ma usta! a uśmiechnięte dziwnie jakoś i bosko... iście wód bogini! To Goplana. Że zbudziła się dopiero co przed sekundą, widzisz z oczu rozwierających się jeszcze zwolna, choć niby już otwartych: że marzy, i o czemś ładnem marzy—to czujesz, widzisz duszą także. Ręka cudownie toczona, z gracyą iście kobiecą wyciągnięta po nad sitowiem, w postaci jakby błogosławić je chciała;—sięga tam na lewo, od prawej strony, gdzie siedzi, właśnie sama Goplana, po pączek jakiś czy kwiatek wyrosły na wodnej trzcinie... Otóż po brzegach tej alabastrowej ręki wzdłuż całej dolnej jej linii, i nieco także wzdłuż górnej, przechodzi światło jakieś białe, przezrocze, błyskawiczne, niby oprawa jaka srebrno-złota; — refleks światła poranku, co drga dopiero po ziemi, niepewny czy mu zejść na nią będzie wolno... błysk... brzask... zaświt pierwszy dnia rodzącego się w górze... coś zresztą co naprawdę nie da się dobrze określić, ale jest bardzo, bardzo ładne!

Idźcie Czytelniczki obejrzeć Goplanę. Toż to siostra niejednej z was pono... w przezroczystości marzeń — w uniesieniach duszy — w odczuciach *ideału*, w tej słowiańskiej, bladej, szlachetnej, pełnej woni i boskiego jakiegoś uroku postaci.

Idźcież obejrzeć Goplanę!

Pruszkowski Witold. Rusalki. Zupełnie inne wrażenie, odebraliśmy od obrazu p. Pruszkowskiego pod powyższym tytułem. Wielkością swoich rozmiarów imponując bardzo tamtemu, stoi co do artystycznej wartości, tak znacznie od tamtego niżej i niżej że prawie po *Goplanie*, mówić się o nim nie chce.

Jakkolwiek jednakże głównym celem naszym jest: dzielić się z Czytelniczkami wrażeniami tylko przyjemnemi, — to obowiązek znowu sprawozdawcy, zmusza nas do czego innego.

Kiedy więc mus — to mus! Piszemy o *Rusałkach.*

Obraz, jak powiedziałem, przedewszystkiem duży I dla czego taki duży? pytać się przychodzi. Czy rusałki takie były ogromne? Aleź tam wszystkiego jest ich dwie tylko! Wprawdzie dziewuszki rzeczywiście pokaźne! tusza... lepszej, jak na młode kreatury, nie trzeba! Jubeczki chłopskie, rodzaj *halek* —przypominają wieś znowu... Dlaczego jedna z rusałek tak ma brzydko wykrzywione usta? Co malarz chciał przez to wyobrazić?... Aleź, jak wykrzywione! jak!... I ta straszna czerwoność na wargach *wodnych panien!* Jak malarz umiał przygotować farbę nawet taką?...

Tcina gęsta, ciemno-zielono zapełnia staw czy jezioro czy miejsce na rzece, gdzie stoją obok siebie dwie boginie. Ponad trzciną, z prawej strony, w górze nieco, a właśnie nietyle ile trzeba, aby uwydatnić wysokość nieba, widać zawieszony sierp bladego księżyca. Dlaczego sierp taki mglisty? Toć artysta chciał zapewne przedstawić noc pogodną, głównie dobrze oświetloną, bo jakżebyśmy rusałki tak dobrze widzieli?

Powtarzamy: obraz duży... pretensyonalnie duży! Rzuca się w oczy; zajmuje masę miejsca!... Inaczej —nie pisaliśmy nic o tem.

Pane Nadzieja. „*Morze północne*“ i „*Wenecya przy świetle księżyca.*“ Jedynie tylko z powodu, że Czytelniczki nasze obchodzić muszą bardzo żywo produkcye pędzla kobiecego, wspominamy o dwóch jeszcze wymienionych wyżej obrazach, które pominęlibyśmy może nie dla małej ich wartości, ale dlatego, że w przedziale, który rozpatrujemy, znajduje się kilka i innych zasługujących daleko więcej na wzmiankę i na pochwałę; a miejsca jak wiadomo mamy mało.

Artystka widocznie czuje się powołaną specyalnie do malowania *pejzarzy;* powołaną do tego stopnia, że nawet *brawuje* sobie najwyraźniej, z natchnieniem jakie posiada na tem polu. Używamy tu tego wyrazu *seryo* i *nie seryo.* Ma znaczenie *względne* w stosunku do utworów artystki; *bezwzględne* w stosunku do pretensyi, jaką ta w utworach tychże zdaje się widocznie objawiać. *Morze północne* i *Wenecya przy świetle księżyca!* Potrzebaż większych kontrastów na świecie? Mróz obok gorąca że aż strach! Tam lody, noc prawie wieczna—śmierć; tu słońce, jasność nieprzerwana, i drgająca wszystkiemi fibrami życie. Co do „Wenecyi“ nie możemy tylko poznać z obrazu, czy to plac Ś. Marka od strony morza, czy też inne jakie jest miejsce tego grodu? Podobne to i do tego i do czego innego Jeśli plac Ś. Marka, to odstępy pomiędzy kolumnami po nad samym brzegiem — za duże. Zresztą... wszystko byłoby śliczne: i ta kolumnada po lewej stronie z ciemnem sklepieniem, dająca perspektywę na morze—i druga kolumnada, widziana z zewnątrz po prawej ręce, i światło księżyca błąkające się po tych filarach, marmurach, kątach sklepień, po wodzie w dali i posadzce placu, i włoch z gitarą, oparty o filar, a marzący widocznie o miłosnej wycieczce z lubą w gondoli, wszystko to byłoby śliczne, gdyby mniej było *martwe* przez *konwencyonalizm!* Artystka za *oficyalnie*, jakby rzec można, traktowała tym razem *piękno.* Takie jego przedstawienie za pomocą pędzla, stało się już po świecie czemś *wyszłem z mody...*

Co do drugiego obrazu „Morze północne“ tu wstrzymujemy się najzupełniej z sądem. Spytamy się tylko artystki krótko: czy była osobiście na tem morzu? Bo nam się zdaje widzieć wyraźnie, że obraz wymyślony jest z książki. I zdaje nam się, że bie-

gun północny, z lodami swojemi i z mrozem inaczej całkiem wyglądać musi. Albo książka była źle napisana, albo artystka źle pojęła treść jej. Zresztą może to wszystko tylko się nam zdaje. Okręt, co się chwieje na falach pomiędzy lodami, bardzo ładnie i trafnie jest namalowany; niebo białe, mgłą jakąś groźną osłonięte, wydaje się także bardzo wdzięczną stroną obrazu. Lodu tylko, mrozu, tych gór lodowych, śmierci pod niemi i na nich, tego blasku ślepiącego oczy, bladości *strachu* i jaskrawości *piękna*... mało!

Lilpop Marya. Portret Modrzejewskiej. Z produkcyi pędzla, *kobiecych*, notujemy jeszcze ten niewielki obrazek, jako mający bardzo dużo, według nas, zalet, a jednak bardzo mało... *pretensyonalny!* Jest to sobie Modrzejewska, w niebieskiej sukience (na obrazie mamy tylko popiersie artystki), w perłach na szyi, w czapeczce jakby greckiej, w rąbku bielizny wystającym ładnie z pod sukni, w pozycyi jakby zamyślonej. Pięknością główną portretu są... jego oczy! Oczy te patrzą tak ślicznie i przyjemnie, że... chyba Modrzejewska choć troszkę gorzej musi spoglądać. Jest wprawdzie trochę *liczenia na effekt* w tem spojrzeniu, ale swoją drogą talent wielki ma artystka, co takie spojrzenie oddać na płótnie może. Uważamy ten portret za najlepszy ze wszystkich, a już za nieporównanie lepszy od *Modrzejewskiej w roli Julii* pędzla p. Mireckiego.

Oprócz sukni bardzo ładnie namalowanej (białej) nic godnego w nim uwagi nie znaleźliśmy, mówiąc szczerze. Po co bo, ci artyści nasi, chwycili się tak wszyscy tej pani Modrzejewskiej? Już jak u nas co w modę pójdzie to pójdzie!

Dowgird Tadeusz. „Roztopy.“ Bardzo ładny to obraz i... tem bardziej wart pochwały, że malarz trudny przedmiot wybrał do opracowania. Wiemy od bardzo dobrych specyalistów, że takie cieniowanie *czarno-białe* ziemi, jakie znajdujemy na „Roztopach,“ do wielkich szkopułów sztuki malarskiej należy. Trzeba tu bardzo delikatnie oznaczyć: gdzie śnieg się kończy—gdzie się całkiem już skończył— i gdzie się sama ziemia zaczyna. Te plamy szarawe i ciemne po śnieżystych, właśnie ugórach przedstawionej przez p. Mireckiego miejscowości, bardzo trafnie i prawdziwie malują *roztopy* nasze: natura tu tak wierna, że patrząc na ten śnieg topniejący, aż tęskno się robi do bliskiej wiosny... chce się krzyczeć: „słońca! co prędzej słońca! słońca!...“

B. A.

Przegląd literacki.

Żydzi, Niemcy i My p. J. Jeleńskiego. Warszawa 1880 r. Wydanie 4-te.

Czwarta edycya tej książki jest pewnego rodzaju dowodem, że jej autorowi udało się wreszcie zbudzić śpiących i otworzyć im oczy, aby spojrzeli nad jaką zasypiają przepaścią. P. Jeleński ożywiony najczystszemi uczuciami obywatelskiemi, wytrzeźwił na raz wielu; ci nie gniewają się na niego, że przerwał im bezmyślną drzemkę, lecz na seryo zaczynają się zastanawiać i radzić, co dalej począć w tej niecierpiącej zwłoki sprawie. A sprawa to nielada, bo tu idzie ani mniej ani więcej jak o to, czy mamy w niedalekiej przyszłości *być czy nie być*, albo wyrażając się słowami pana J., idzie o to, czy ma przyjść ta chwila, w której ,,nie Żydzi i Niemcy u nas, ale My u Żydów i Niemców będziemy!“

— To już za wiele! wołają przeciwnicy owych kwestyi, a wołają w złej i dobrej wierze. Po co wywoływać widma w biały dzień? Po co podbudzać jednych obywateli przeciwko drugim? Po co zasiewać nienawiść tam, gdzie tylko jedność i zgoda zapewnić może dobrobyt ogólny? Po co zajmować się jakąś kwestyą żydowską, która nie istnieje wcale, gdyż wszystko idzie według naturalnego porządku rzeczy.

Że wszystkie skutki są następstwem odpowiednich przyczyn, o tem nikt nie wątpił. Nie uprzedzamy się więc ani na jedną, ani na drugą stronę, stoimy na stanowisku czysto objektywnem, i zadajemy sobie na seryo pytanie:

Czy jest u nas kwestya żydowska?

Jeźli statystyka nie kłamie, jeźli fakta bijące w oczy nie są złudzeniem, to nie podobna odpowiedzieć przecząco. Wreszcie, jeźli tego rodzaju kwestya jest na porządku dziennym w Galicyi, Węgrzech, Rumunii... a nawet w potężnych zjednoczonych Niemczech, dlaczegóżby istnieć nie miała u nas, gdzie wszystkie miasta i miasteczka przepełnione są plemieniem Semickiem, gdzie wszystkie kapitały i cały handel jest wyłącznie w ręku Żydów?...

— Niech będzie i tak, zgoda, istnieje kwestya ekonomiczna, którą nazywacie żydowską, ale po co ją poruszać, kiedy się nie ma środków do jej rozwiązania, a tym sposobem pogorszać złe, którego usunąć nie można.

Skoro się pozna złe, to i środki zapobieżenia mu zawsze się znajdą. Wszak pan J. wylicza ich niemało, lecz aby to nie były *pia desideria*, mrzonki jakieś, trzeba o nich pisać, rozbierać je, zastosować tam, gdzie zastosować się dadzą. Mylą się ci panowie, którzy utrzymują, że *te gadaniny* do niczego nie doprowadzą. Owszem, przeciwnie, jesteśmy zdania, że jednej i drugiej stronie wskażą właściwą drogę postępowania, wskażą możliwy *modus vivendi*, bo o radykalnych reformach bez poparcia z góry mowy być nie może.

Na taimy przed sobą, że kwestya żydowska jest bardzo zawiłą i sięga dalej, niżby się to komu zdawało, gdyż bezpośrednio wiąże się z wielu kwestyami społecznemi, ekonomicznemi i, nie obwijając rzeczy w bawełnę, plemiennemi. Nim ludzie jasno i bezstronnie ją postawią, dużo wody upłynie.

Żydzi polscy, zacni i inteligentni widzą to dobrze i... milczą, w dziwnem znajdując się położeniu. Ukochali kraj w którym się oni i ich przodkowie zrodzili, zjednoczyli się z jego dolą i niedolą, żyli się z jego życiem społecznem i ekonomicznem, i zawsze i wszędzie postępowali względem niego szczerze i sumiennie, jak się postępuje względem własnej ojczyzny. Lecz z drugiej strony zbyt są rozumni i praktyczni, aby widzieć nie mieli krzywdy, jaką wyrządzają temuż krajowi, ich sfanatyzowani współwyznawcy, którzy wyosobiwszy się, pragnęli i zawsze pragną tworzyć naród w narodzie, państwo w państwie, naturalnie ze szkodą ogółu krajowców.

Polak, trzymający się religii starego zakonu w niemałym znajduje się kłopocie, gdyż prędzej lub później wybrać musi pomiędzy ojczystym krajem, a swojemi wyznawcami. Rozdział pomiędzy polskiemi Żydami, a Polakami-żydami jest nieuniknioniony, jak tego małe mamy już próbki.

O żydach majętnych nie wspominamy, bo to są kosmopolici, którzy o nic i o nikogo nie dbają, byle *Geschäft* mogli robić i kapitały gromadzić, a kapitał, to potęga, wiedzą o tem dobrze, lecz używają go nie na korzyść kraju a nawet swoich współwyznawców, ale na korzyść własną, odpowiadając na wszelkie zaczepki: głupi daje, mądry bierze.

Co się zaś tyczy całych mass ogłupiałego, sfanatyzowanego proletaryatu naszego żydowskiego, ten pędzi swój nędzny żywot oszukując i wyzyskując często jeszcze nędzniejszych od siebie innowierców; sam nic nie produkując żyje z produkcyi innych, zowiąc to handlem, faktorstwem i t. p.

Starannie i sumiennie zebrane szczegóły dotyczące się tego przedmiotu znajdujemy w książce pana J. która ma ten szczególny przywilej, że tysiące budzi myśli i tysiące wywołuje kwestyi. Naturalnie że zastanawiać się nad niemi i rozbierać je tu poszczegółowo nie możemy, nadmieniamy tylko, że sami Żydzi i ich rzekomi obrońcy w błędzie są, gniewając się na autora książki o której mówimy. Wyjaśniając pozycyę, jaką jest rzeczywiście, i robiąc wzajemny obrachunek, zapobiega się konfliktom nieuniknionym w przyszłości, a których następstwa zawsze są opłakane tak dla jednej, jak dla drugiej strony, czego aż nadto dowodzi dawna i współczesna historya. Pan J. oddaje więc pracą swoją niemałą przysługę, już nietylko krajowi, za co mu się wdzięczność należy, lecz Żydom samym.

Co do drugiej części pracy pana J. tyczącej się Niemców, wyzyskujących na wszystkie strony z niemałą szkodą naszą, nie mamy co dodawać, gdyż musielibyśmy powtórzyć tylko to samo, co autor trafnie i słusznie wypowiedział. Ale i tu na pochwałę natury ludzkiej powiedzieć można, iż jak we wszystkiem, tak i między Niemcami na pocieszające wyjątki trafić można. Są Niemcy, którzy przybywając do naszego kraju, wnoszą kapitał a częściej zdolności i naukę swoją, pracują sumiennie zyskują sami ale i kraj zyskuje,nie szczędząc ofiar pieniężnych, a nawet osobistego poświęcenia, na któreby się nie zdobył niejeden krajowiec. Są-to zacne i uczciwe charaktery, ale niestety, zbyt rzadkie, bo je na palcach policzyć można.

Kończąc te słów kilka o pracy pana Jeleńskiego, jednej rzeczy nie umiemy sobie wytłomaczyć, dlaczego prassa ,nasza peryodyczna, z małym bardzo wyjątkiem, upornie o niej milczy, odzywając się półgębkiem zaledwie. Czy nie mogłaby w danych kwestyach wypowiedzieć swojego zdania.

J. P.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 kwietnia 1880 r.

Dotąd wiosenne i letnie mody były dla nas tajemnicą, dziś rozwiązała się zagadka. Wszystkie magazyny paryskie powystawiały liczne nowości, a co więcej dla nas, mieliśmy sposobność widzieć stroje zakupione na magazyn pań Kuhnke, wybrane jak zwykle z wytwornym smakiem. Dzisiejsze sprawozdanie wyłącznie im poświęcamy.

W kapeluszach wielka rozmaitość: jedne z nich wielkie, z wysoką głową i szerokiem rondem, inne znów maleńkie, lekko nad czołem podniesione. Kwiaty wróciły do mody. ale zdobią tylko wierzch kapelusza; diademy pod rondem zarzucone zupełnie; zastąpił je marszczony atłas, powleczony żółtawą koronką, albo torsadą z *dżetem*. Z kwiatów najmo-

dniejsze: bratki, fijołki, maki w różnych odcieniach, bzy, róże, jaskry i wielkie rumianki. Szarfy do wiązania kapeluszy, najmodniejsze z gazy indyjskiej w żółtawem odcieniu objęte takąż koronką: szarfy te przytwierdzają się do karczka, dwoma złotemi broszami.

Po tych ogólnych uwagach, przystąpmy do szczegółowego opisu.

Pierwszy kapelusz do wiązania pod brodą, ze słomki bardzo cienkiej w kolorze brązowym (loutre) ma główkę średniej wysokości, rondko małe podniesione nad czołem, podbite aksami tem tegoż koloru: na tym aksamicie naszyte dwa rzędy złotych pereł. Z wierzchu ronda idzie koronka złota na trzy palce.

Szarfy do tego z fularu *surrak*, w takim kolorze jak kapelusz, z frendzelką wystrzępioną. Z lewego boku wpięty wielki bukiet z kaczeńca i rumianku.

Drugi kapelusz czarny koronkowy: denko zahaftowane dżetem. Rondko małe odwinięte w górę: pod spodem idzie czarna koronka naszyta dżetowemi paciorkami, od brzegu spada dżetowa frendzelka. W koło główki przerzucona szarfa z atłasu tureckiego, przechodzi do boków i służy do wiązania. Z lewego boku wpięty wielki bukiet z makówek czarnych, ze złotemi środkami.

Trzeci kapelusz w kształcie fanszonu, rondko ma podniesione, podbite oliwkowym aksamitem i żółtawą alansońską koronką. Główka cała w górze pokryta różami w kilku odcieniach, wiązka liści wpięta z lewego boku. Pod temi różami, środkiem główki idzie torsada słomkowa, niżej zaś spada wielki bukiet z różanych pączków. Szarfy żółtawe z gazy indyjskiej objęte koronką alansońską dopełniają ubrania.

Czwarty kapelusz z cienkiej słomki angielskiej, główkę ma kapotkową, rondko spuszone, podbite białym atłasem, z brzegu objęte aksamitem *caroubier*. Wierzch ronda naszyty złotą koronką. Z lewego boku spada pęk pukli z atłasowej wstążki *caroubier*, na prawo zaś wielki bukiet rododendronów w tymże samym kolorze. Od karczka idą szarfy z takiegoż atłasu, przytwierdzone w tyle złotą torsadą i dwoma złotemi broszami.

Piąty kapelusz ryżowy: rondko u niego odwinięte, podszyte bufką z atłasu słomkowego. Na tę bufkę spada torsada ze słomy z frendzelką. Z boku wpięty wielki bukiet z makówek w rozmaitych odcieniach żółtych. Szerokie końce atłasowe, koloru słomy, wiążą się na wielką kokardę.

Przejdźmy teraz do okrągłych kapeluszy; tych rozmiary w ogólności większe niźli wiązanych.

Pierwszy ze słomki brukselskiej, rondko objęte z wierzchu i u spodu materyą brązową; a na niej torsadą ze słomy. Środkiem ronda przechodzi śliczny wianek z jagód berberysowych, zakończony z boku pękiem pąsowych makówek. W tyle główki wpięta kokarda z brązowego aksamitu, przeplatana koronką w żółtawym odcieniu, spadającą na warkocz.

Drugi kapelusik także brukselski, ma rondo z obu stron podniesione, podbite atłasem blado lilla; na atłasie naszyta żółtawa koronka. Poniżej główki z jednej strony wielka kokarda z lilla wstążki pomięszanej z koronką, z drugiej strony wianek z fijołków parmeńskich w bladym kolorze.

Trzeci kapelusik bardzo oryginalny w formie toczka, ze słomki angielskiej; brzeg objęty aksamitem ciemno *caroubier*; powyżej główka opasana materyą turecką w kolorach caroubier i złotym. Od tyłu rzucony bukiet z trawy i polnych kwiatów.

Czwarty kapelusik czarny słomkowy; rondo szerokie, podbite atłasem czarnym, z jednego boku podwinięte w górę. Wierzch ronda zagarnirowany dwa razy koronką czarną, nad tem szeroka torsada z dżetem, otacza główkę. Z prawego boku na podpięciu pęk czarnych piór z końcami dżetowemi, z lewej strony dwie wielkie szpilki złote.

Piąty kapelusz także czarny: rondo z obu stron podniesione, zachodzi w ząb nad czołem. Pod rondem atłas czarny przeszywany w odstępach rzędami czarnych pereł. Na środku wpięta kokarda z atłasu ciemno *caroubier*, podszyta atłasem złotawego koloru. Główka opasana w koło, przekręcanym atłasem w tychże kolorach. Dwa czarne strósie pióra, dopełniają ozdoby.

Szósty kapelusz bardzo oryginalny, ze słomy ryżowej w rodzaju pasterki, główkę ma nizką, rondo szerokie, podbite atłasem białym. W koło główki przepasana wstążka biała, z jednego boku dwie rozety z białego atłasu, przypięte dwoma złotemi broszami, od nich wybiega wielkie białe pióro, i spada na przeciwną stronę.

Od kapeluszy przejdźmy do okrywek. Noszą je z kaszmiru indyjskiego i z lekkiego atłasu *satin ture*. Kaszmirowe zdobią pasmanteryą z dżetem; atłasowe koronką wyszywaną czarnemi pacioreczkami. Poważniejsze okrywki mają formę wizytek. Młode osoby noszą mantylki przewiązane na piersiach, lub też pelerynki do stanu, złożone z samych pereł dżetowych, z odpowiednią frendzlą.

Powiedzmy teraz o sukniach i kostumach wiosennych. Modele pań Kuhnke, odznaczają się wytwornym gustem. Oto ich opis szczegółowy:

Suknia strojna z czarnego atłasu *satin turc*, ma przód cały w plisy krzyżujące się fantastycznie: u dołu idą cztery namarszczone falbanki. Tylne bryty, przytwierdzone w górze trzema kontrafałdami tworzą długą powłokę bez żadnego garnirunku ani podpięcia. Stanik nie zbyt długi, zachodzi jednak na biodra. Z pod pleców wybiega puff ozdobiony wielką kokardą. Przód stanika mocno zagarnirowany koronką w żółtym odcieniu.

Druga strojniejsza jeszcze suknia, z atłasu i materyi w nowym kolorze dzikim, przód ma atłasowy, przemarszczony cały w poprzeczne bufki, boki zupełnie gładkie z materyi faille; z tyłu spada pięć puffów, coraz niżej z atłasu i materyi na przemian, od najniższego puffu ciągnie się powłoka, zakończona wodą. Stanik z materyi w formie fraczka: pod spód idzie kamizelka atłasowa, spięta na rząd guzików.

Dodajmy tu uwagę że atłas liczony dawniej do zimowych materyi w tym roku przyjęty na strojne letnie suknie. Robią go w bardzo lekkim gatunku: oprócz gładkiego widzimy też atłas w rzucik z drobnych lub większych muszek, zwany *à pois* i *à pastilles*.

W kostumach pań Kuhnke wielka też panuje rozmaitość. Najstrojniejszy z nich jedwaby, w kolorze ciemno brązowym (loutre), ma spódniczkę z falbaną szeroką na pół łokcia. Po nad nią z jednej strony idą w górę wązkie falbanki aż do samego stanu, z drugiej strony plisy ukośnie naszywane. Z tyłu dane trzy puffy jeden nad drugim. Plisy i falbanki haftowane są jedwabiem złotawego koloru. Stanik krótki spięty na pasek i złotą klamrę, na nim ułożona draperya w formie chusteczki, w kolorze złotawym, przewiązana u szyi, końce od niej przyciśnięte paskiem spadają na spódnicę.

Inny kostum szary z lekkiej tkaniny wełnianej ma przód zagarnirowany wolantami, każdy wolant kilka razy przemarszczony, kończy się szlakiem tureckim w różnych kolorach. Tylne bryty podpięte fantastycznie zakończone u dołu falbaną. Stanik w formie fraczka, spięty na dwa rzędy guzików, przybrany szlakiem kaszmirowym.

Trzeci kostum szaro popielaty, z bardzo lekkiego wełnianego wyrobu składa się ze spódniczki z plisowanym wolantem, i szerokiej draperyi w kształcie fartuszka, podniesionej w górę po bokach, z tyłu połączonej długiemi końcami. Stanik w formie fraczka z przodu ma wyłogi z atłasu *caroubier*, z tyłu klapki takąż objęte plisą.

Inny wreszcie kostum w kolorze niewarowym z lekkiego kaszmiru indyjskiego: przód spódniczki przemarszczony w odstępach; po bokach idą słupy z błękitnego atłasu. Tylne bryty tworzą draperyą, podpiętą niżej stanu wielką kokardą, z kaszmiru szarego, pomięszanego z błękitnym atłasem.

Najmodniejsze kołnierzyki, składają się z koronki żółtawej mocno nagarnirowanej, i z gazy indyjskiej w tymże odcieniu. U szyi idzie rzęsista rusza koronkowa, poniżej dwa lub trzy rzędy spadającej koronki. Z przodu garnirunek z koronki mięszanej z gazą, ciągnie się aż do pasa.

Do mniejszego ubrania, uważaliśmy ruszę koronkową, z jednym rzędem spuszczonej na dół koronki, związaną u szyi na wstążeczkę w kolorze śmietankowym — mankiety do tego złożone z ruszy i wązkich kokardek.

Mnóstwo też widzimy fantastycznych węzłów z koronki i gazy żółtawej, do przypięcia w górze stanika. Kołnierzyk do tego może być stojący płócienny, lub plisowany z *crèpe lisse*.

Z pomiędzy krawatek podobały nam się bardzo fularowe białe w wielkie muchy pąsowe i czarne, lub też w błękitne i szafirowe, krawatki te długie szerokie blisko na pół łokcia, obszyte u dołu koronką alansońską, wiążą się na wielką kokardę.

Czepeczki tak strojniejsze, jak i ranne negliżyki, garnirują powszechnie żółtawą koronką. Jeden bardzo ładny z malinowego tiulu, ubrany wstążką *creme*, podpięty był z boku wielkim bukietem fijołków. Inny znów czarny przepinany dżetem, z długiemi końcami koronkowemi, przypominał hiszpańską mantyllę.

Wspomnijmy tu jeszcze śliczny negliżyk z indyjskiego muszlinu, ogarnirowany koronką; nad czołem zgrabna kokarda z wstążki creme pomięszana z puklami *caroubier* główną stanowiła ozdobę. Inny znów negliżyk maleńki, okrągły, miał nad czołem trzy rozety z błękitnej wstążki atłasowej, z pod rozet spadała na czoło koronka alansońska.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 18 Марта 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 14 r. 1880.

SAWANTKA.

przez

mistres Annie Edwardes

przekład z angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Gdy wojna wybuchła, kapitan Vansittart powierzył swoją córeczkę pewnej samarytance z rzemiosła, zamieszkałej w Brighton, jednej z tych *Pipchins* ogłaszających przez gazety iż otaczają sieroty macierzyńską opieką, jeżdżą z nimi do wód jeźli potrzeba, mogą przedstawić rekomendacye pastorów— a wszystko to na czas umówiony, za pewną, z góry uiszczaną opłatą.

Ciocia Hosia pojechała tedy do Brighton, skąd powróciła za tydzień wydawszy do ostatniej gwinei na opłacenie rachunku owej samarytanki, i przywożąc z sobą do Fief-la-Reine małą jasnowłosą dziewczynkę, wydającą się jeszcze jaśniejszą i mniejszą w swych żałobnych sukienkach, a słodkie jej, jak niebo błękitne oczki zdawały się mówić: „Kochajcie mnie!“ do ludzi i do świata na którym wątła jej istotka zdawała się być nieużytecznym dodatkiem.

„A! jak to można mówić w podobny sposób jak owa spekulantka w Bringhton, o dzieciach i ich apetycie, o drożyźnie baraniny i kotletów! mówiła z oburzeniem ciocia Hosia do siostr starszych, gdy wieczorem w dzień jej powrotu, o...żywszy Dafne na przygotowanem dla niej łóżeczku i utuliwszy ją do snu, zasiadły w około kominka dla odbycia familijnej narady.

„Ja mam przekonanie że dziecko w domu to istna oszczędność. Ileż to np. wydam pieniędzy za opielenie ogrodu, chociaż Jan najczęściej zamiast zielska powyrywa mi flance, a ileż się zmarnowało naszych znoszonych sukien, dla tego że nie ma dziecka dla którego możnaby je przerabiać!... A potem koniecznie potrzebne jest w domu coś młodego, choćby już dla tego aby poruszyło kurz z kątów i jak oliwa nie dozwoliło starym maszynom zardzewieć.“

Widzimy, że jak zawsze, ciocia Hosia umiała nadać zacnym, pięknym uczynkom swoim bardzo poziomy, niby na wyrachowaniu oparty pozór. A potem oszczędność i wyrachowanie były niezbędnem zadaniem misses Vansittart, o którem ani na chwilę zapominać nie mogły.

Pięć lat temu, śmierć ojca, w jednym dniu strąciła biedne siostry ze szczytu zbytku i przepychu do zupełnej biedy. Pułkownik Vansittart, ów jak go nazywali koledzy wspaniale hojny Jerzy, należał do rzędu tych ludzi których pieniądze się nie trzymają, którzy żyją sobie i hulają wesoło, nie troszcząc się o jutro. Miły, uprzejmy, gościnny, najpierwszy zawsze zapisywał się na wszelkie dobroczynne składki, hojny Jerzy miał przytem tak krótki wzrok moralny, iż ani pomyślał o tem że obowiązkiem jego zapewnić przyszłość córek. Miał sobie za zasadę „że każdy dzień ma dość swoich kłopotów“ i dla tego nie tylko o przyszłości ale o jutrze nie myślał nigdy.

Każda z misses Vansittart odziedziczyła po matce 700 do 800 funtów szterlingów i to stanowiło obecnie całe ich mienie, gdyż koszta pogrzebu pułkownika (a człowiek tak znany i popularny musiał mieć wspaniały pogrzeb) pochłonęły w zupełności resztki funduszu jego złożonego u bankiera. Nadto nadesłano niebawem rachunki od krawca, ze składu win i delikatesów oraz od różnych dostawców— bo wiadomo że ci co najmniej mają pieniędzy największy miewają kredyt. W sam czas umarł hulaszczy i rozrzutny pułkownik, mógł jeszcze zawezwać najznakomitszych doktorów, liczny poczet przyjaciół zebrał się na pogrzeb, dzienniki zamieściły pochwalne nekrologi.

Biedne misses Vansittart musiały zastanowić się nad swojem położeniem, pomyśleć o sposobie utrzymania.

Były już w tym wieku w którym najpróżniejsze, najzarozumialsze panny nie mogą się łudzić nadzieją bogatego zamążpójścia, a przyzwyczajone do zbytku i próżniactwa, mogłyż wyżyć ze stu dziesięciu gwinei rocznego dochodu, jaki przynosił połączony ich kapitał?

Umierając, pułkownik Vansittart mieszkał w Cheltenham, w domu bogato i wykwintnie umeblowanym, wydawał świetne obiady i w zamian przyjmował zaproszenia najznakomitszych, najbogatszych sąsiadów, tak więc córki jego miały liczne i wysokie stosunki. Zmarły miał sobie za wielką zasługę i chełpił się z tego że potrafił zapewnić córkom możnych przyjaciół; wiele bardzo osób, mówił z rozrzewnieniem, zebrało znaczne majątki jakich ja nie posiadam, ale za to nikt nie potrafi poszczycić się większem bogactwem wysokich stosunków, nad to jakie ja zostawię moim dzieciom.

I jakież zbierały teraz owoce tych jego starań i zabiegów? oto od czasu do czasu przysłano im koszyczek winogron lub bukiet z cieplarni, bilet wizytowy z zapytaniem o zdrowie, a nakoniec powtarzano jałowe użalenia i rady.

„Mój Boże! biedne misses Vansittart, zostały tak bez sposobu do życia! Możeby mogły dawać lekcye albo też niech szukają miejsc za panny do towarzystwa...

„Lub znowu: są przecież przytułki dla osób pozbawionych wszelkich środków utrzymania, — mają przyjaciół i znajomych wysoko położonych, ci mogliby postarać się aby je przyjęto... Mogłyby także wyrabiać różne kobiece robótki, które kupowaliby znajomi, ma się rozumieć nie drożej jak w sklepach.“

Oto wszystko na co zdobyli się wielcy niby przyjaciele z wielkiego świata.

W takim stanie rzeczy, w umyśle cioci Hosi powstała myśl przeniesienia się do Quérée, aby tam własną pracą zapewnić sobie byt niezależny.

Dawno, dawno już temu, gdy *hojny Jerzy* stał z pułkiem na wyspach la Manche, wielka boleść dotknęła tkliwe serce Hortensyi Vansittart, kochała i wierzyła że jest kochana, ale nikczemny narzeczony zerwał z nią w przeddzień ślubu, dowiedziawszy się że nie posiada spodziewanego posagu. „Rzecz bardzo prosta i zwykła, mówiono w świecie, której dziewczyna nie ładna i nie bogata powinna się była spodziewać...“ Lecz choć zdaniem świata, nie było to nic nadzwyczajnego, jednak biedna ofiara uczuła cios ten głęboko, ale że posiadała wielką siłę charakteru i umiała panować nad sobą tak w lat dwadzieścia jak teraz mając pięćdziesiąt, nie dręczyła innych swoją boleścią, cierpiała skrycie spokojna na pozór, aż nagle zapadła na gwałtowne zapalenie mózgu. Choroba trwała długo i biedna miss Hortensya bardzo powoli odzyskiwała siły, jak gdyby niechętnie wracając do życia z którem rozstać się pragnęła. Doktorzy zalecili wiejskie powietrze, gdyż pobyt w domu pułkownika w którym nieustannie rozlegał się dźwięk dzwonka, szczęk pałaszy i ostróg, był zupełnie nieodpowiednim dla osoby cierpiącej na silne rozdrażnienie nerwów i w głębokim pogrążonej smutku. Wysłano tedy młodą miss do Quérée na kilka tygodni które miała spędzić w domu pewnego znanego fermiera; raz tam przyjechawszy, zabawiła pół roku. Zbawienny wpływ nadmorskiego powietrza, jasne słońce, rozległy do koła roztaczający się horyzont, widok poczciwych rybaków nieustannie zajętych pożyteczną pracą tak nieznaną płochemu światu w którym tak śmiertelną zadano jej ranę, wszystko to oddziałało zbawiennie na znękaną miss Hortensyę. Nie odzyskała na zawsze utraconej już wesołości, ale nauczyła się jak można obrócić zmartwienia i smutki osobiste na korzyść działalności nieosobistej i przekonanie to pozostało wyryte w jej sercu, choć następnie wróciła do życia światowego, którego jedynem zajęciem są zabawy obiady, bale i spacery.

— W Quérée, przekładała siostrom, żyć będziem w pośród ludzi daleko uboższych od nas, więc jeźli tylko znajdzie się tam wolna ferma będziemy zupełnie swobodne i niezależne, i zaręczam nie zabraknie nam ani świeżego powietrza, ani świeżego masła do chleba.

— Ależ Tylers nie będzie chciała jechać tam z nami! zawołała miss Izabella: aż strasznno pomyśleć że trzebaby z nią się rozstać.

Czy to skutkiem głuchoty czy odziedziczonej po ojcu lekkomyślności, dość że miss Izabella nie mogła pojąć, iż odtąd aż do końca życia trzeba będzie wstawać rano i kłaść się wcześnie, obywać się jedną tylko suknią na lato drugą na zimę i sprawiać się bez pomocy panny służącej, której płacono 40 gwinei rocznie.

— Nie wymawiam się od ofiar i poświęceń, mówiła wreszcie, w upały pobyt nad morzem jest znośny— byleby tylko zabrać z sobą Taylor.

— Na wyspach tych znali i pamiętają jeszcze stanowisko naszego ojca, miałybyśmy więc choć tę pociechę żeby ludzie wiedzieli kto i co my jesteśmy, zauważyła miss Teodora.

Postanowiono nareszcie urzeczywistnić pomysł cioci Hosi.

Na szczęście, Fief-la-Reine nie była wydzierżawiona, gdyż potrzeba było zaprowadzić dreny, wyreperować dom mieszkalny, co przechodziło możność okolicznych fermierów. Miss Vansittart przeniosły się tam i na kilka lat przed przybyciem małej Dafne, pędziły jeźli nie dostatnie, to przynajmniej spokojne i niezależne życie.

Biedna sierotka czuła się tu swobodną i szczęśliwą, mogła latać i biegać do woli, kochano ją

i pieszczono, nie tak jak w Brighton gdzie każdy szczegół macierzyńskiej niby opieki, musiał być opłacany gotówką. Dwa razy na dzień zasadzano ją tam do nauki, uczono liter według najnowszej metody, rano i wieczór pasiono tranem, a mimo to była słaba i wątła. W Quérée od rana do wieczora biegała po ogrodzie, miała własny klombik gdzie wolno jej było kopać i sadzić kwiatki, rzucać ziarno gołębiom, jeść ile chciała, a wszystko to opromieniały jeszcze słodkie uśmiechy cioci Hosi.

Każde dziecię potrzebuje koniecznie miłości macierzyńskiej zarówno jak płuca powietrza do oddychania, a Dafne więcej jeszcze od innych dzieci swego wieku pragnęła być kochaną—w Fief-la-Reine nie zbrakło jej też serc kochających. Z drugiej strony ciocia Hosia nie miała teraz kłopotu z pieleniem, nie potrzebowała najmować do tej roboty, bo Dafne była niezmordowaną byle ją zadowolnić. Sypiała obok niej, w łóżeczku przysuniętem do łóżka dobrej cioci Hosi, której nie raz łzy stawały w oczach gdy patrzyła na śpiącą dziecinę. Miss Hortensya nie troszczyła się nigdy o siebie, ale całkiem oddana innym, nie mogła myśleć bez trwogi o przyszłości biednej sieroty.

Wstawały raniej niż starsze misses Vansittart i przed śniadaniem, trzymając się za ręce wychodziły w pole, odetchnąć ożywczem rannem powietrzem. W jakiej bądź porze roku, czemkolwiek zajęta była miss Hortensya, mała, wiotka postać jak cień nieodstępnie jej towarzyszka gdyż była ona dla niej ojcem, matką, towarzyszką zabaw, i więcej nad to wszystko: była *ciocią Hosią*. Tak upłynęło życie Dafny aż do lat ośmnastu; wtedy to wybiła nieszczęsna godzina, w której, głównie z powodu że miss Teodora posiadała jasno-popielatą suknię z koronkowemi wolantami — postanowiono że ponieważ Dafne jest już słuszną panną, zatem należy ją *w świat wprowadzić*.

— Już to trzeba przyznać, Hortensyo"mówiła miss Teodora wpatrując się w swoje podniszczone stroje które kiedyś brylowały na obiadach w Cheltenham, i które z pomocą *Petit Courier des Dames* można było jeszcze przerobić na modne,—trzeba przyznać że starzejąc się mamy wielką skłonność do samolubstwa. Zbiór kartofli i sprawy gospodarskie mogą zajmować mnie i ciebie, ależ zapominamy że Dafne ma już lat ośmnaście i że nie tylko dla jej dobra ale przez cześć dla pamięci jej dziada, nie wolno nam pomijać tak przyjaznej sposobności.

Tą przyjazną sposobnością był wielki bal mający być wydanym w pałacu rządowym na powitanie nowego pułku.

Miss Teodora nie zawiodła się w przewidywaniach, nie zapomniano na wyspach o stanowisku zajmowanem niegdyś przez pułkownika Vansittart i nie omieszkiwano wysełać zaproszeń na wszelkie bale i uroczystości do fermy Fief-la-Reine. Dotąd miss Teodorze zaproszenia takie tę jedynie sprawiały przyjemność, że rozkładała je obok pożółkłych zaproszeń i biletów wizytowych odbieranych w Cheltenham, na dużym porcelanowym półmisku stojącym na stole w salonie, bo czyż panna licząca pół wieku istnienia miałaby po co iść na bal? Ale obecnie gdy Dafne ma lat ośmnaście, a gorąca chęć bycia na balu mogła ustroić się w atłasową suknię przedstawiającą niby togę *obowiązku*, miss Teodora uczuła że jej moralna postawa w obec zewnętrznego świata miała uledz zmianie.

— Niech Dafne sama stanowi o swoim losie rzekła, tłomacząc po swojemu smutne zamyślenie i wahanie jakie wyczytała z twarzy cioci Hosi.

— Dafne, dodała zwracając się do siostrzenicy zaproszone jesteśmy na wielki bal mający być wydany 21 b. m. na powitanie nowego pułku. Wielka to ofiara wracać do świata, gdy stanowisko jakieśmy w nim zajmowały tak bardzo się zmieniło, i stawać na podrzędnem tam właśnie gdzie się zajmowało pierwsze—jednak gotowa jestem zrobić z siebie to poświęcenie! Powiedz sama, czy mam odmówić czy przyjąć zaproszenie?

Czyż potrzeba powtarzać odpowiedź Dafny? czyż ośmnasto letnia dziewczyna odmówiła kiedy i odepchnęła pierwszą tak ponętną pokusę przedstawiającą się jej w postaci balowego stroju, atłasowych trzewiczków, skocznej muzyki i nieznanych tancerzy?

Przyjęto więc zaproszenie i przez trzy następne tygodnie o niczem nie mówiono jak o gazach; tiulach i wstążkach; nigdy jeszcze ściany cichego domu tyle się o nich nie nasłuchały.

Jak się ma ubrać Dafne, niebiesko, zielono czy różowo?

W tem jednak przeważył dobry gust i takt cioci Hosi—stanęło na tem że Dafne włoży skromną powiewną białą suknię i przypnie świeże kwiaty do głowy i do gorsu.

Teraz z kolei wystąpiła kwestya kadrylli i „Lanciersów." Dafne bywała na wieczorynkach wyprawianych w okolicznych fermach podczas świąt Bożego Narodzenia; rozumiała co to jest taniec w obstrakcyjnem tego słowa znaczeniu i miała dostateczną wprawę w tańce miejscowe, bardzo poważne i prawie uroczyste, znała także tańce wirowe których nauczyła się od młodzieży powracającej z pensyj francuzkich, ale o kadrillu i Lancierze żadnego nie miała pojęcia. Tak więc trzy stare misses, nie wyłączając miss Izabelli, musiały wtajemniczać ją w zasady i uczyć tych tańców; słaby sopran miss Teodory stanowił orkiestrę, a widzami byli: Małgośka zasłaniająca się fartuchem i stojący za nią Janek.

Tak więc Dafne, poważna jak gdyby miała odczytywać ćwiekopismowe napisy, pobierała lekcye salonowych tańców, z któremi miała popisywać się na balu.

Po południu 21 już wszelkie przygotowania były ukończone. Dafne umiała kadrilla i lanciera: na łóżku jej leżała rozłożona biała suknia na którą wyszło nie wiedzieć wiele łokci, obok niej białe atłasowe trzewiczki, koronkowa chusteczka, szarfa i wachlarz.

Nadszedł więc nareszcie ów tak gorąco oczekiwany 21 czerwca, który wydał się Dafnie najpiękniejszym w świecie. Jakże wesoło biegała po domu i po ogrodzie, jak niecierpliwem okiem śledziła skazówki zegarów! Ach! czemuż słońce prędzej nie zachodzi! czemuż nie jest jeszcze w drodze do rządowego pałacu!...

Był to ostatni dzień jej dziecinnych rojeń. w którym miała pożegnać się z czystem, spokojnem, niczem niezakłóconem szczęściem. Zdawało jej się że zegar się spóźnia, że skazówki nie dość prędko się posuwają. Nareszcie ósma wybiła; stara, najęta kareta zajechała w podwórze. Przed domem stała Małgośka z Jankiem i gromadka wieśniaków. aby przypatrzyć się jadącym na bal „paniom." Nie mieli oni najmniejszego wyobrażenia o toaletach świetniejszych nad te jakie widywali u hecarek na jarmarkach, a które składały się zawsze z krótkich spódniczek i błyszczących sychem gorsecików,—to też za ukazaniem się Dafny, okrzyk podziwu wydarł się z ich piersi. Promienie zachodzącego słońca rzucały złoty odblask na śliczną jej, jasną główkę, przystrojoną gałązką róży; poczciwym wieśniakom zdało się że patrzą na świętą z obrazka.

— Dobrzy ludziska! rzekła miss Teodora cóżby to było gdyby mnie widzieli ubraną tak strojnie jak dawniej się ubierałam.

I pewna że dziś jeszcze jest piękną w swej srebrno-popielatej sukni z koronkowemi wolantami, odświeżonej i przybranej kokardami, podniosła dumnie głowę obciążoną piórami, i rzekła prostując się:

— Czuję że rozpoczynamy nowe życie. Gdyby nie ja, moje dziecię, pewnie nigdy nie poznałabyś świata. Biedna Hortensya, pomimo wielu przymiotów ma tę wielką wadę że zupełnie pozbawiona jest ambicyi. Któż może przewidzieć jakie mogą być następstwa tego balu, stanowiącego pierwszy twój wstęp do świata odpowiedniego twemu urodzeniu?...

Otóż bezpośredniem jego następstwem było że nazajutrz Dafne czuła się zmęczoną i mocno pobladła.

— No naturalnie, bardzo dobrześmy się bawiły, mówiła nazajutrz do cioci Hosi, podczas śniadania którego prawie nie jadła,—jednakże ja inaczej wyobrażałam sobie wielkie bale. Wielu tancerzy tańczy nie w takt, a potem w walcu tak nieznośnie przyciskają do siebie tancerki! Co zaś do Lanciera, można go tańczyć nie umiejąc zupełnie, taki ścisk i nieład. Doprawdy ładniejsze są nasze tańce miejscowe jakie, tańczymy na wieczorynkach w Boże Narodzenie.

— A nie wspominasz o panu Chester z którym aż pięć razy tańczyłaś, który podał ci rękę do kolacyi a potem odprowadził aż do powozu. Jeżli nie pochlebiła ci ta tak odznaczająca grzeczność jego, doprawdy niepodobna jesteś do innych dziewcząt, rzekła miss Teodora.

— Pan Chester nie tańczy lepiej od innych, odpowiedziała zupełnie obojętnie. Wolałabym była zamiast tych pięciu tańczonych z nim tańców, walcować z którym z okolicznych tancerzy.

— Co do mnie, pan Chester bardzo korzystne wywarł na mnie wrażenie, mówiła rumieniąc się prawie miss Teodora. Młodzieniec ten ma *maniery* nadzwyczaj arystokratyczne i zdaje się jest spokrewniony z Stamers'ami z Warwickshire. Zawahałam się nieco gdy mnie prosił o pozwolenie złożenia nam swego uszanowania, bo nie można być nadto ostrożną gdy nie ma w rodzinie żadnego mężczyzny, ale gdy mi powiedział...

— Chce bywać u nas! zawołała nagle ciocia Hosia, i ty pozwoliłaś młodemu, zupełnie nieznanemu mężczyźnie aby przybył do Fief-la-Reine dla bliższego poznania Dafny?

— Nie ma zwyczaju aby młodzi panowie przychodzili oddawać wizyty młodym ośmnasto-letnim panienkom, odrzekła miss Teodora tonem wyższości. Pan Chester prosił tylko najuprzejmiej abym mu pozwoliła dowiedzieć się czy bal ten nie znużył mnie zbytecznie, i bardzo wdzięczna mu jestem za tę troskliwość. Zdaje mi się że zapewnie odwiedzi nas przed wieczorem.

Miss Teodora nie omyliła się; podczas największego upału, gdy ciocia Hosia i Dafne zbierały w ogrodzie porzeczki i maliny na konfitury, przybiegła do nich zadziwiona Małgośka, wołając że jakiś piękny pan angielski czeka przed bramą i zapytuje czy może widzieć się z miss Vansittart.

Twarz Dafny mocnym pokryła się rumieńcem. Mówiąc o wrażeniach doznanych na balu, powiedzia-

ła szczerą prawdę: tancerze przyciskający ją tak blisko jakby udusić pragnęli, panie uśmiechające się za wachlarzami z jej zadziwionej miny, tłok, ścisk, gorąco, czczość wiejąca ze wszystkiego, sprawiły że została rozczarowaną jak dziecko gdy to co zobaczy nie odpowiada jego oczekiwaniom. W tej jednakże chwili dziecko ustępowało kobiecie; w sercu jej budziło się poczucie posiadanej władzy i jakiś niebezpiecznie ponętny odblask próżności, pociągające choćby samej nowości urokiem.

— Nie pragnę wcale widzieć się z panem Chester powiedziała do cioci Hosi patrzącej na nią z niepokojem; przychodzi nie do mnie ale do cioci Teodory... Jednak skoro tyle tańców tańczyłam z nim na balu, może grzeczność nie pozwala mi nie wyjść do salonu.

Jakoż w kilka minut potem weszła do bawialni w której oczekiwał pan Chester, w codziennej sukience, w ogrodowym kapeluszu, z palcami poczerwienionemi malinami. Miss Teodora nie spodziewając się tak wczesnych odwiedzin jego i zajęta jeszcze była ubieraniem się w swoim samotnym, dziewiczym pokoju.

Po tej pierwszej wizycie pan Chester nie przedstawił się w nader olśniewającym świetle; wyrażał się w sposób nadzwyczaj eliptyczny i telegraficzny, przyjęty przez młodzież jego rodzaju. W tym ich języku „hum" i „ach" oraz spojrzenia zwracane w sufit zastępują zaimki, a zwroty ich mowy podobniejsze są do telegramów opłacanych od słowa niż do rozmowy istot myślących.

— Czy zadowolniona z wczorajszego balu? Znużona?—Diabelski pomysł, bal w takie gorąco.

Następnie pauza.

— Na tydzień, Jersey piękna okolica.—Przez tydzień poznało się wszystko.

Nieco dłuższe milczenie.

— Zna pani Cheltenham?

Tu przybycie miss Teodory ożywia chwilowo rozmowę.

— O! dobrze, doskonale znam Cheltenham rzekła siadając.

— Polowałem tam dwa sezony.—W Cheltenham szatańsko nudne towarzystwo. Stamers'owie z Warwickshire?—O tak! najzaufańsi moi przyjaciele.

Oto jak się wyrażał Barry Chester — jeźli zatem jak utrzymują, styl przedstawia człowieka, mamy więc miarę umysłowych jego zdolności. Szczęściem dla niego, tuż naprzeciwko nad kominkiem wisiało zwierciadło w którem mógł widzieć swoje, wprawdzie dość nadwerężone wdzięki, przestępując z nogi na nogę i nieustannie pokręcając wąsy, gdyż inaczej nie wiedziałby co robić ze swoją figurą.

Miss Teodora probowała ożywić rozmowę eleganckiemi reminisencyami z Cheltenham.

Co do Dafne, ta nie znając zupełnie ani świata ani ludzi, tem samem nie mogła z nikim porównać pana Chester.

— Bardzo elegancki młodzieniec, rzekła miss Teodora, gdy wynajęty *dog-cart* z nędznemi końmi i stangretem w wypożyczonej liberyi, z trzaskiem i hałasem wyjechał z dziedzińca; a choć dla mężczyzny piękność nie jest konieczną, przyznać trzeba że pan Chester jest bardzo, bardzo piękny

— Pan ten ma nader niemiły i przykry wyraz w oczach i w ustach, i coś niesympatycznego w całej postaci, i z pewnością nie jest to *gentleman*. O nie! rzekła ciocia Hosia, która weszdłszy do bawialni pod koniec wizyty, milcząc słuchała i przypatrywała się gościowi; wierzaj mi, Teodoro, pomimo wszystkich Stamers'ów z Warwickshire, pan Chester nie ma odpowiedniego zachowania, nie wie co z sobą zrobić, widać pragnie koniecznie zapomnieć swego pochodzenia ale te właśnie usiłowania najwyraźniej przypominają to innym.

I niestety! ciocia Hosia i po dłuższem poznaniu nie zmieniła swego zdania.

W przeciągu niespełna tygodnia, Barry Chester dwa razy był w Fief-la-Reine, a dla sprawienia większego efektu, zawsze przyjeżdżał owym najętym powozikiem, z pożyczaną liberyą.

We dwa tygodnie później, stał się codziennym gościem w Fief-la-Reine; wprawdzie otaczał tylko Dafne zwykłemi światowemi, do niczego nie obowiązującemi grzecznościami, ale zawsze tak się urządzał aby poranki i wieczory spędzać w jej towarzystwie.

Ciocia Hosia nie zmieniła bynajmniej wydanego o nim zdania, nie starała się jednak oddalić go z Fief-la-Reine, wierząc w przeznaczenie w małżeństwie, ale też wrodzona prawość nie dozwalała jej ukrywać swojej ku niemu niechęci.

— Zdaje mi się ciociu Hosiu, że w gruncie duszy podzielam twoje zdanie, mówiła Dafne, pół smutnie pół wesoło. Co prawda pan Chester jest piękny, zna świat i to najwyższy świat, w obec niego czuję się tak jakoś onieśmieloną jak ciocia Teodora w obec Stamers'ów z Warwickshire... jednak gdyby mnie ktoś zapytał czy zatęsknię za nim gdy stąd odjedzie lub czy wolałabym wcale go nie znać, nie wiedziałabym co odpowiedzieć.

W tydzień później była jego narzeczoną!

Pewnego wieczora wpadła do salonu, a w twarzy jej drgało nowe jakieś życie i uszczęśliwienie, oznajmiając że Barry Chester wyznał że ją kocha i że umrze jeźli nie odda mu swej ręki. To też nie miała odwagi odmówić mu. Powiedział jej iż za raz po ślubie zamierza osiedlić się w Virginii, gdzie za sto gwinei można nabyć grunta i stajnię na trzydzieści koni, a brzoskwinie rosną po polu jak u nas dziczki, i wiele, wiele podobnych nagadał jej rzeczy... Czy może powiedzieć czekającemu na tarasie panu Chester aby wszedł do bawialni? po herbacie można będzie spokojnie pomówić o tem wszystkiem.

Ciche to i naiwne ośmnasto-letnie dziewczę, żyła w takiem odosobnieniu, tak nic nie znała świata i ludzi, tak najmniejszego nie miała pojęcia o fałszywości i przewrotności ludzkiej, iż ciocia Hosia masiała jej przebaczyć że dała się usidlić i uwierzyła zapewnieniom pana Chester.

A potem, odrzuciwszy instynktową swoją niechęć i łatwą do pojęcia zazdrość że odtąd nie będzie zajmować pierwszego miejsca w sercu Dafny, ciocia Hosia nie mogła postawić żadnych udowodnionych zarzutów. Barry Chester zaraz w dniu oświadczyn wyznał iż fundusze jego są bardzo ograniczone; kilka miesięcy przedtem sprzedał swój stopień w armii, i skromna otrzymana za niego summa, czyli raczej pozostała z niej reszta, stanowiła obecnie całe jego mienie. Miał wprawdzie możne i wysokie stosunki i protekcye, ale te dawały tylko moralną pewność. W końcu dodał że nie ma jeszcze dwudziestu ośmiu lat skończonych i lubi *życie swobodne*.

Czy znał kto kiedy człowieka wiodącego równie próżniacze życie jak Barry Chester, któryby nie podzielał jego zdania?

„*Życie swobodne*" wyrażenie to ma dość rozległe znaczenie, obejmuje ono: polowanie, wyścigi konne, strzelanie do gołębi i lubowanie się w ubiorze podobnym do ubioru żokejów, do czego niezbędny jest bicz ze złotą rękojeścią i kamasze.

Postanowił sobie emigrować do Virginii z nastaniem jesieni, kupić fermę za 600 do 700 funtów i w niej się osiedlić. Wiedział dobrze iż nie jest to ani świetna ani zbyt ponętna przyszłość, ale nie jest w stanie ofiarować nic więcej prócz wielkiej, bezgranicznej miłości swojej; a gdy to mówił przelotny zapał tak ożywił twarz jego, iż nawet uprzedzonym oczom cioci Hosi wydawał się pięknym.

Dafne zgodziła się na tę nie świetną przyszłość: i w trzy tygodnie później uklękła obok niego u stóp ołtarza wiejskiego kościołka, kochając go tem uczuciem jakie powstaje zazwyczaj w sercu dziewcząt dla pierwszego mężczyzny szepczącego im słowa miłości, mocą których ich pospolite dotąd życie, zamienia się w namiętny dramat.

Oto w jaki sposób Dafne Vansittart została panią Chester.

Opuszczając Fief-la-Reine, pomimo swej niby miłości dla męża, żegnając się z ciotkami, objęła uściskiem ciocię Hosię i głośnym wybuchnęła płaczem.

Z natury dobra, szlachetna, zdolna do poświęceń, Dafne uważała sobie za obowiązek ulegać ślepo wszelkim wymaganiom i kaprysom męża, i pomimo nader licznych jego wad, w ciągu ośmiu miesięcy jakie przeżyli z sobą, przywiązała się do niego jakiemś uczuciem silnem, ślepem, jakie nie zawsze staje się najgodniejszych go udziałem.

Czy kochała go wielką, nieograniczoną miłością jaką czuć była zdolną?

Tak jej się zdawało.

Miesiąc miodowy spędzili w Sark. Nie upłynęło dziesięciu dni, pan Chester zaczął się nudzić i nie ukrywał ziewania, a nadto nie miarkował wyrażeń swoich, zupełnie nie stosownych w obec młodej kobiety.

Nareszcie wybrali się do Fief-la-Reine odwiedzić ciotki, i tam naradzano się nad przygotowaniami niezbędnemi do blizkiej podróży do Virginii. Ale tygodnie zamieniały się w miesiące, liście drzew poczerwieniały i pożółkły, a Barry Chester nie okazywał niczem że myśli o urzeczywistnieniu swoich zamiarów. Napomykał nawet o steeple-chase mającem odbyć się na wiosnę na gruntach Queruée, o wyścigach w lipcu, a nareszcie zaczął powstawać przeciw wyjazdowi do Virginii.

— Zastanowiłem się mówił że życie w kolonjach bardzo małe przedstawia szanse, nawet dla ludzi posiadających kapitał; można daleko świetniejsze robić interesa nie opuszczając rodzinnej ziemi, byle tylko mieć rozum i wytrwałość. (Trzeba było spojrzeć na wyraz twarzy cioci Hosi, w chwili gdy wspominał o rozumie). I tu, na tych wyspach możnaby znaczne zapewnić sobie korzyści, zająwszy się hodowlą i sprzedażą małych koni normandzkich. Był przekonany że tym sposobem można—nie narażając się na straty jakie spowodować może emigracya — zrobić nawet znaczny majątek. A tymczasem...

Tymczasem Barry Chester coraz częściej całe dnie a z nadejściem zimy i wieczory przepędzał za domem, stroił się w coraz jaskrawsze krawaty i fałszywe klejnoty, i objawiał swoje zamiłowanie do *swobodnego życia* przyjmując ważny udział w ćwiczeniach sportu w Jersey. Były to *niebezpieczne* gonitwy za workiem z gazetami: „steeple-chases" w których najwyższe przeszkody stanowiły płoty osadzone janowcem: *niebezpieczne* przeskakiwanie rowów na łokieć głębokich i umyślnie ku temu celowi napełnionych wodą, nareszcie zabijanie gołębi i inne podobne liliputowskie czyny, odpowiadające

ograniczonej przestrzeni gruntu i równie ograniczonym finansom Nemrodów.

I któż miał mu przedstawić na jak zgubną wchodzi drogę? Najniezawodniej nie żona. Pomimo swej nieświadomości i braku doświadczenia, Dafne zaczynała poznawać się na wartości pana Chester, ale starała się wszelkiemi sposobami łudzić siebie samą, ufając i pocieszając się nadzieją. Nigdy najmniejszem słówkiem ani spojrzeniem nawet nie wyrzucała mężowi że ją tak zaniedbuje, nigdy nie zapytała na czem trawi długie godziny spędzane po za domem, i tą przesadzoną delikatnością bezwiednie przyśpieszała jego ostateczny upadek.

Prawy, pełen prostoty i szczerości charakter Dafny, byłby wzruszył człowieka mającego pewne choć poczucie delikatności, na pana Chester przeciwnie oddziałał bardzo zgubnie. Wszak ten sam promień słońca złoci lub czerni, stosownie do natury ciała na jakie pada.

Przyznać trzeba że od samego urodzenia okoliczności składały się na jego zgubę. Matka, córka leśniczego, odumarła go w dzieciństwie; ojciec dał mu jak najgorsze wychowanie, obrał mu nieodpowiedni zawód, i trzebaż że obecnie, właśnie w czasie kiedyby najwięcej potrzebował zdrowej rady i kierunku osób znających świat i życie, ożenił się z młodziutkiem dziewczęciem, dobrem, łagodnem, kochającem, ale równie niezdolnem jak zresztą wszystkie jej ciotki kierować młodym człowiekiem i utrzymać go na drodze praktycznego życia, jak gdyby przybyły wprost z bezludnej wyspy Oceanu Spokojnego.

Stopniowo, od zabaw względnie nieszkodliwych jak np. przeskakiwanie płotów i strzelanie do gołębi, Barry Chester zstępował do rozrywek coraz więcej go poniżających. Nareszcie misses Vansittart dowiedziały się z przerażeniem, że grywał w kręgle i dnie całe przesiadywał w szynkowniach, i najwstrętniejszych miejscach. Stawał się coraz małomówniejszym i ponurym. W ciągu rzadkich godzin jakie przebywał w domu, zakłócał spokój i ład cichego tego schronienia; powracał późno, przyganiał podawanym potrawom, burczał i łajał Małgośkę, słowem nie szczędził oznak niezadowolnienia zawsze wyradzającego się z próżniactwa, które poparte poszeptami pychy i miłości własnej, ciężar własnych win zrzuca na najniewinniejsze istoty.

Nareszcie widząc że Barry Chester nie myśli się ustatkować, misses Vansittart w tajemnicy przed Dafną złożyły radę familijną, na której postanowiono: że nakoniec raz trzeba powiedzieć mu słowa prawdy. Zaczęło się od ostrzegających spojrzeń rzucanych nań przy obiedzie obok znaczących słówek, następujących dni wyczerpano cały arsenał domowych pocisków—wszystko nadaremnie, Barry Chester miał tak silne i wcale nie drażliwe nerwy, iż postanowił nie obrażać się tem wszystkiem, dopókąd w zamian znajduje wygodne i nic nie kosztujące go schronienie.

Postanowiono tedy przemówić do niego jasno i stanowczo; Teodora Vansittart ofiarowała się zabrać głos, Ciocia Hosia, którą najwięcej raziły wady i zboczenia Chestera, w tej jednak okoliczności okazała się daleko pobłażliwszą od siostr starszych, bo serce jej ożywione prawdziwie chrześciańskiem miłosierdziem, umiało być wyrozumiałem na pokusy i błędy bliźnich.

Jakkolwiek miss Teodora niegdyś wiele bywała w świecie, nigdy jednak nie zastanawiała się nad nim ani nad ludźmi, a od lat tylu nie znała innych nad zmyślonych bohaterów i bohaterki romansów, którzy zwykle wychodzą zwycięzko z najcięższych przejść i prób. Potępiała więc nieubłaganie winowajcę.

— Barry Chester jest próżniak, zarozumiały i lekkomyślny i nie poprawi się nigdy; fałszywy pieniądz nie przemieni się na dobry. — Co zaś do jego wysokich stosunków i powinowactwa ze Stamers'ami z Warwickshire, jestem najmocniej przekonana że takowe nigdy nie istniało i że Barry Chester nawet z widzenia żadnego z nich nie zna, dodała z zaiskrzonym wzrokiem. — I ogrom tej jego zbrodni stłumił wszelkie poczucie litości jakie mogłaby mieć dla niego.

Powiedział ktoś że ludzi, zarówno jak płótno, daleko lepiej poznać i ocenić można z małych próbek; możnaby dodać do tego, że jak wiele mięszanych tkanin, tak i natura ludzka, dopiéro gdy się nieco *zużyje* właściwie ocenioną być może.

A cóż więcej *zużywa* jak życie codzienne? Patrzeć na kogoś rano w południe i wieczór; widzieć go we wszystkich okolicznościach życia, w każdem usposobieniu, gdy mu obiad nie smakuje lub śniadanie się spóźni — są to próby z których mało kto wyjdzie zwycięzko.

Dawniej, gdy Barry Chester starał się o Dafne, i ciocia Hosia objawiała wątpliwość swoją co do jego charakteru, miss Teodora odpowiadała jej: „Ależ Hortensyo, czyż można wymagać aby stare głowy rosły na młodych ramionach? Cóż dziwnego że młody taki człowiek lubi się zabawić! Światowca i wojskowego niepodobna mierzyć według naszych nawyknień w Fief-la-Reine.“ Jesień i zima spędzone pod jednym dachem wystarczyły aby tę dobroć i pobłażliwość miss Teodory, zamienić w żółć. „Barry Chester, mówiła dalej, jest próżniakiem i marnotrawcą, pozbawionym wszelkich zasad, jeżli dość wcześnie nie przedsieweźmiemy surowych środków, niedługo wszystkich nas pociągnie za sobą do zguby.“

I w tem miała słuszność.

Tak więc pewnej soboty wieczorem — ponieważ w dni te zwykle wcześniej wracał do domu — trzy misses Vansittart postanowiły nieodwołalnie odbyć uroczyste posiedzenie trybunału inkwizycyi.

Nie myślcie, Czytelnicy, aby zamiarem moim było występywać w obronie pana Chester, przyznaję jednak że na samą myśl o tej strasznej radzie *trzech* przypominam sobie że bądź co bądź, zawsze i on jest moim bliźnim, i litość nad nim budzi się w mojem sercu.

Była to ostra noc marcowa, wicher dął wprost od Cherburga, mrożąc zabijającym chłodem wszystkie przedwcześnie rozkwitłe w ogrodach kwiaty. Barry Chester szedł ze spuszczoną głową, drogą wiodącą do domu. Dochodząc do dworu nie zauważył że niezwykłe światło bije z okien salonu—ale błoga ta niewiadomość nie długo trwała. Gdy, niezupełnie trzeźwy, niepewną ręką probował włożyć klucz w zamek (gdyż kazał sobie dorobić klucz do zasuwy), nagle drzwi roztworzyły się na rozcież i jak widmo ukazała mu się postać,—a ważność tego zjawiska zrozumiał dobrze, choć był na wpół pijany. Miss Teodora stała przed nim ubrana w najstrojniejszą suknię, na wzniesionej w górę głowie miała stroik złożony z kilkunastu łokci wstążek i koronek, w ręku trzymała zapaloną świecę.

Barry Chester wszedł do przedpokoju chwiejącym krokiem; rozwiązał szalik na szyi, zdjął paltot, i z kwaśną i zasępioną miną zwracając się do miss Teodory, która zamknąwszy i zasunąwszy drzwi, zimnym i surowym wzrokiem wpatrywała się w niego,—zawołał:

— Spodziewam się że nie przejęłaś pani jednej z tych przeklętych manij Dafny, aby czekać na mnie?

— Czekałam dziś na pana, odrzekła lodowatym głosem, czekałam dziś raz pierwszy i ostatni, z powodu ważnego postanowienia. Możesz być pewnym, panie Chester, że drugi raz nie będę dla ciebie pozbawiać się snu.

To powiedziawszy zwróciła kroki ku salonowi, z majestatycznością na jaką tylko zdobyć się może cnota pewna siebie i swej nieomylności,

Chester szedł za nią z pewną obawą — rozumiał co go czeka. Zbliżył się do kominka, wyciągnął ziębłe ręce nad dogasającem zarzewiem, a po chwili odwróciwszy się spojrzał na trzech sędziów swoich. Miss Izabella, głucha, sztywna, nieubłagana, z okularami nieco opuszczonemi na nos, siedziała nieruchoma w fotelu; miss Teodora wyprostowana i dumna, miała minę wodza gotowego do wytoczenia zaczepnej walki; ciocia Hosia usiadła nieco w cieniu, łagodna jej twarz była bledszą niż zwykle, spuściła oczy aby nie patrzeć na podsądnego.

— Widzę że stawiony jestem przed sądem, rzekł Barry Chester ponuro, rozglądając się po salonie; ale gdzież u djabła jest Dafne, czemuż nie uzupełnić kompletu przed rozpoczęciem sprawy.

— Dafne śpi już od trzech godzin i nie wie o naszem... słowa zamarły na ustach cioci Hosi, bo też nikt nie był mniej zdolnym do wypowiedzenia potępiającego wyroku.

Miss Teodora dokończyła żywo niedokończonego frazesu.

...Niezłomnem postanowieniu spełnienienia ciążącego na nas obowiązku, który nakazuje nam wykazać panu jak niegodnem jest postępowanie jego. Czekałyśmy aż nadto długo; 24 b. m. upływa ośm miesięcy od waszego ślubu, a przygotowania do odpłynięcia do Virginii nie postąpiły ani o krok dalej, — tak więc troskliwość o dobro Dafny a nawet i pana, zniewala nas do zapytania jakie są twoje zamiary co do przyszłości.

Może Chester lepiej wyszedłby na tem gdyby od razu uniósł się gwałtownym gniewem, zamiast wdać się w długie i rozwlekłe rozprawy. Głupiec rozprawiający daje od razu miarę całego ogromu swej głupoty. Oto co wypowiedział Barry Chester w zawiłych, napuszonych frazesach

Nie przeczył że gdyby sprobował wyemigrować, usiłowania jego byłyby pomyślnym uwieńczone skutkiem, ale ponieważ los i przyszłość człowieka z góry są mu przeznaczone, nie potrzebuje więc przedsiebrać żadnych zabiegów ani starań i może czekać z założonemi rękami, gdyż co mu przeznaczone tak czy tak go nie minie. Lecz zamiast dowieść tego założenia, dowiódł tylko i wykazał jak najdokładniej całą płytkość i ograniczenie swego umysłu, oraz spaczenie i przewrotność pojęć wynikające z przebywania w złem towarzystwie, z próżniactwa, nadużycia trunków, nieustannego palenia cygar i tytuniu i przesycenia się zawartą w nich nikotyną.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 11.

(*Dokończenie*).

N. 29 i ryc. **25** w N. 12. **Kapelusz** wyszyty dżetem i perełkami.

Główka kapelusza wyszyta jest w gwiazdę dżetem błyszczącym i perełkami, rondko objęte skosem 4 cent. szerokim naszytym perełkami, a podszyte tiulem lekko bufowanym. Girlanda z drobnych listków i kwiatków laku i szarfy z materyi w guście tureckim, 125 cent. długie a 24 szerokie stanowią ubranie.

N. 30 i ryc. **23—24.** w N. 12. **Kapelusz** ozdobiony haftem tamburkowym.

Ryc. 24 w N. 12, przedstawia $\frac{1}{4}$ część denka do kapelusza, wyszytego na tiulu czarnym nitką złotą i jedwabiami kolorowemi, ściegiem łańcuszkowym. Na ryc. 23 i 90 wskazane jest podgarnirowanie ronda i ubranie kapelusza koronką i kwiatami.

Opis do N-ru 12.

N. 2—3. Ubranie wieczorowe dla młodej panienki.

Nie sięgająca do ziemi suknia, przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 2 i 3 może być z białego lub kolorowego muślinu, ze strojnem przybraniem z bufek falban i koroneczki. U dołu dany wolant 14 cent. szeroki, złożony w kontrafałdy, po nad nim boki i przód sukni aż do paska przybrane są bufkami przedzielanemi wszywką 3 cent. szeroką i 5 cent. szerokiem plisowaniem oszytem koroneczką. Krótkie panier zszyte na przemian z pasów muślinu i wstawek, zakończone plisowaniem, zachodzi pod bryt tylny, 130 cent. długi, 80 szeroki, podpięty kokardami z kolorowej wstążki. Bluzka zszyta z bufek i wstawek, z przodu otwarta podłużnie, ma rękawy pół-długie zdobne koronką i kokardami, pasek jedwabny.

N. 4 — 5. Ubranie strojne wizytowe.

Cienki, krepowy wełniany materyał koloru żółtawo białego użyty jest na suknię przedstawioną z przodu na ryc. 4. Ryc. 5 przedstawia podobną suknię z małemi tylko zmianami, t j. z dodaniem materyi deseniowej, szmizetkowego przybrania i strojnych rękawów. Spódnica zakończona u dołu drobniutkiem plisowaniem, które na dość długim trenie przepięte jest kokardami ze skosu 13 cent. szerokiego. Prosty bryt materyału, podpięty z boków i w miękkich fałdach spływający na tren sukni objęty jest wypustką i zakończony u dołu wązkiem plisowaniem, zaś podwójna drapeerya przednia oszyta białą jedwabną frendzlą mieszaną ze złotem. W dolnej połowie dodany jest rodzaj bufowanego plastronu z materyi faille, 16 cent. szerokiego w górze, a śpiczastego u dołu. Takiż plastron, 20 cent. szeroki u góry, zdobi przód stanika, zakończonego u dołu płaskiem fałdowaniem z przodu 9, z tyłu 12 cent. szerokiem, ze skośnego kawałka materyału oszytego frendzlą. Fałdowanie to kończy się przy wązkiej baskinie pleców, przepiętej kokardami. Głęboki, kwadratowy wykrój szyi, przy sukni ryc. 4, zdobi suta, stojąca riusza z boku przepięta różą. Na ryc. 5 widzimy wykrój szyi, dany w ząb równie głęboki z przodu jak z tyłu, zapełniony szmizetką z bufek tiulowych i wszywek; rękawki odszyte odpowiednio, zakończone trzema koronkowemi falbanami, przewiązanemi kokardą.



N. 1. Ubranie wizytowe. N. 2. Ubranie spacerowe z paletocikiem frakowym.

N. 6—8 i **43. Kosz** do robót.

Materyał: szafirowe sukno; żółtawy, jasno oliwkowy i 2 cienie ponsowego kordonku; sznelka w różnych kolorach. Zwierzchnie przyozdobienie kosza stanowią $2\frac{1}{2}$ cent. szerokie paski sukna, wycięte w zęby, wyszyte podług ryc. 43 i przekładane w kratę jak na ryc. 6. Środek kraty zajmują rozetki sznelowe (ryc 7) układane podług ryc. 8. Wnętrze kosza powleczone materyałem wełnianym lub jedwabnym.

N. 9—10. Stanik bawetowy ozdobiony sznurowaniem.

Czarna suknia z materyi faille ma stanik czarny atłasowy zachodzący pod szyję, z baskiną fałdowaną z tyłu, z przodu zaś dany plastron z faille zapięty z boku na kryte haftki a z wierzchu przesznurowany. Na modelu były sznury jedwabne, blado żółte, zakończone szmuklerskiemi grelotkami. Szmizetkowe przybranie, z koronki point d'Alencon 16 cent. długie zakończone z boków pasmanteryą 6 cent. szeroką. Rękaw przybrany odpowiednio do stanika podaje ryc 10.

N. 12—13 i **30—32. Woreczek** do robót.

Podstawę woreczka z ciemno jedwabnego repsu, 20 cent. wysokiego a 40 szerokiego, przemarszczonego u góry w nagłówek 3 cent. szeroki, stanowi kwadrat 14 cent. długi wyszyty na kanwie jedwabiem i nitką złotą. Ryciny 12 i 13 załączają dwa desenie krzyżowe: ryc. 12 całkowity kwadrat a 13 wzór figury z której można złożyć deseń kwadratu, zaś ryc 31 i 32 załączają próbki wyszycia w naturalnej wielkości, filozelą nierozdzieloną i nitką złotą.

N. 14—16. Serwetka z wyszyciem krzyżykowem podług desenia z XVII wieku, odrobionem na kanwie Aïda.

N. 18. Negliżyk muślinowy.

Na denko czepeczka potrzeba skośnego kawałka muślinu, 42 cent. długiego, 26 szerokiego, którego koniec poprzeczny u góry jest zaokrąglony do 7 cent. wysokości, koniec zaś spadający z tyłu jest ścięty skośno do środka w ząb 21 cent. długi. Nad skośnym końcem denko założone jest w dwie kontrafałdy, przez co zwężone do 9 cent, fałdy przechodzą przez główkę, a przedni brzeg denka założony w drobne fałdki, ubrany do 42 cent. obwodu, przyczepiony jest do wązkiego paska sztywnego tiulu. Brzegi denka oszyte są gładko koronką 4 cent. szeroką, takaż koronka lekko nafałdowana dana dwa razy w około główki. U dołu denka przewiązana kokarda z wstążki 6 cent. szerokiej, koloru zielonawo niebieskiego.

N. 19. Negliżyk upięty z chusteczki.

Model przedstawiony na ryc. 19. upięty był z chusteczki z indyjskiego muślinu, ozdobionej wązkim szlaczkiem krzyżykowym niebieskim i koronką niebieskim wywodzoną. Dolny brzeg chusteczki złożony jest w fałdy do 14 cent. szerokości i przyczepiony prosto do podstawy czepeczka ze sztywnego tiulu; rogi przednie przemarszczone są w ukośnym kierunku i odwinięte w sposób wskazany na ryc. 19. Garnirowanie z koronki i pukle z wstążki $1\frac{1}{2}$ cent. szerokiej, stanowią przybranie czepeczka.

N. 26 — 27. Modne parasole.

Na ryc. 26 widzimy ozdobną rączkę z kości słoniowej, środkiem której przewleczona jest wstążka 4 cent. szeroka; ryc. 27 przedstawia rączkę drewnianą w kształcie rękojeści od pałasza przez którą przewiązany jest sznur jedwabny z kwaśćikiem; do pokrycia parasoli ciągle używana jest materya kiprowana.

N. 28 — 29. Koszyczek do robót.

Liczy 26 cent. długości a 22 wysokości (wraz z pałączkiem 11 cent. wysokim), pleciony jest ze zwykłej bronzowej trzcinki i z boków poprzecznych ozdobiony lambrekinami, których wzór w naturalnej wielkości przedstawia ryc. 29. Kawałek koronki (tego rodzaju jak na firanki) naszyty na ponsowym aksamicie lub pluszu, stanowi tło pod wyszycie kolorową włóczką crewel.

N. 33. Wyszycie ściegiem gobelinowym na srebrnym sutaszu.

Rycina 33 załącza w naturalnej wielkości wzór efektownego wyszycia ściegiem gobelinowym, przez sutasz srebrny, podkładany na kanwie, którą do tej roboty rozpina się na krosienkach. Wyszycie to posłużyć może na taborety, poduszki, woreczki, pantofle lub t. p. i może być robione na sutaszu lub plecionce srebrnej, złotej lub słomkowej, włóczką lub jedwabiem. Ściegi gobelinowe zajmują się zupełnie prosto, przejmując przez sutasz i kanwę, jak to wskazuje ryc. 33.

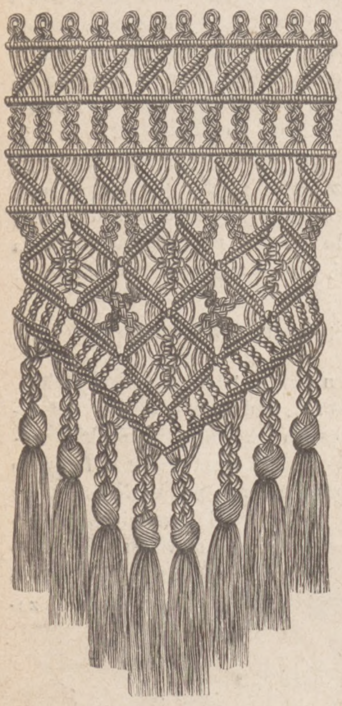
N. 34. Ubranie z krótkim kaftaniczkiem, dla małego chłopczyka.

Odrobione z ciemno wiśniowego aksamitu, i białego atłasu, składa się z luźnego kaftanika spiętego na jeden guzik, z białej atłasowej bluzki z marynarskim kołnierzem i z majteczek sięgających zaledwie do kolan. Strojn-

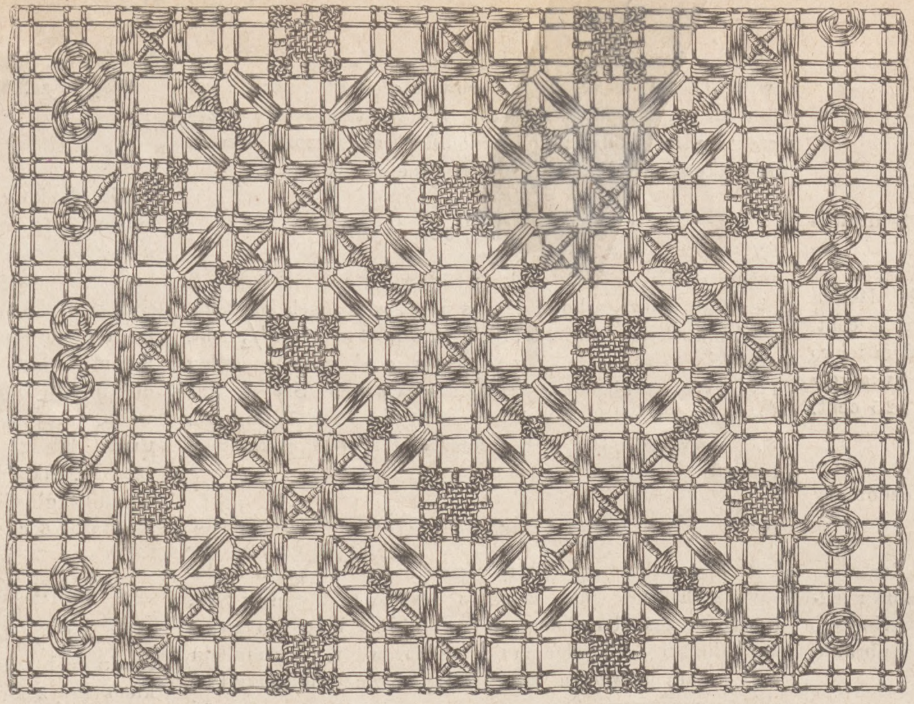
przyozdobienie stanowi niciana koronka 5 cent. szeroka i małe cyzelowane złote guziczki.

N. 35. Ubranie z długim kaftanikiem dla małego chłopczyka.

Krój majteczek i staniczka spodniego znajdą czytelniczki w dawniejszych Numerach, spódniczka 175 cent. szeroka fałdowana w około kraje się w całkowitej długości lub tylko nakształt falbany i przyfastrygowywa od spodu do podszewki kaftanika. Ubranie to jest z ciemno szafirowego sukienka, naszyte sutaszem tego samego koloru; kamizelkę można przygotować oddzielnie lub tylko podciąć przody krócej i odznaczyć ją przez naszycie sutaszu.



N. 4. Frendzla macramé.



N. 3. Deseń na siatkę gipiurową.

N. 36. Ubranie z kaftaniczkiem i bluzką.

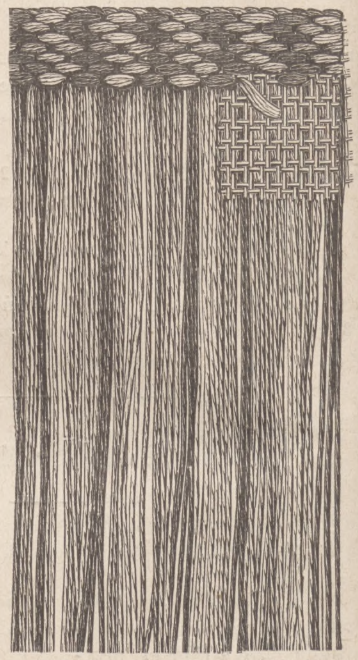
Majtki i luźny kaftanik są z czarnego aksamitu, bluzka zaś może być z batystu, cienkiej weby, atłasu lub materyi. Marszczona koronka zakończa majteczki i rękawy.

N. 37—38. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki.

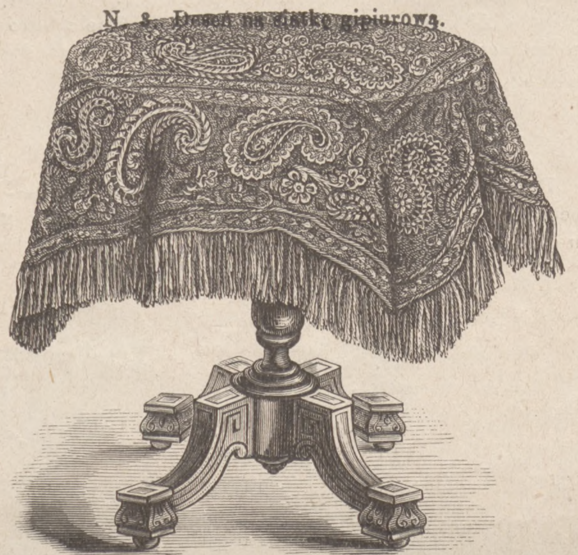
Przykrojona formą princesse i dopełniona u dołu falbaną 22 cent. szeroką, zapięta jest wzdłuż przodu pod 9 cent. szeroką kontrafałdą, ozdobioną naszytemi z wierzchu guziczkami. Przybranie granatowej wełnianej sukienki stanowi naszycie z białego sutaszu i guziczki z konchy perłowej. Sukienka z jasnego kaszmiru ozdobiona jest ciemniejszą jedwabną pliską ozdobioną ściegiem krzyżykowym.

N. 39. Kapelusz i mufka z garnirunkiem koronkowym.

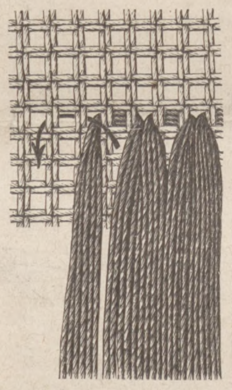
Odpowiednie są do powozu do wizytowego ubrania, odrobione z tego samego pluszu peau deloutre co paletocik spięty na dwa rzędy i z bronzowego atłasu, z którego odszyta suto garnirowana suknia. Kapelusz formą kapotki, ma główkę pokrytą pluszem, atłas zaś użyty do pokrycia rondka, podszytego atłasem kolora śmietankowego i na bufkę fałdowaną w około główki, nad którą wznosi się suta riusza z koronki 6 cent. szerokiej, przepięta złoconą agrafką. Do wiązania końce z tiulu d'esprit, śmietankowego koloru, 45 cent. szerokie a 235 długie. Mufka pluszowa 24 cent. długa, 47 obwodu mającą, podszyta atłasem crême, wysuniętym 2 cent. szerokości na około brzegów. Drobno plisowana koronka d'esprit, 10 centym. szeroka, składana w ściśle kontrafałdy i kokardy z wstążki atłasowej bronzowej 6 cent. szerokiej, stanowią przyozdobienie.



N. 8. Frendzla do ryc. 5. Patrz ryc. 9—10.



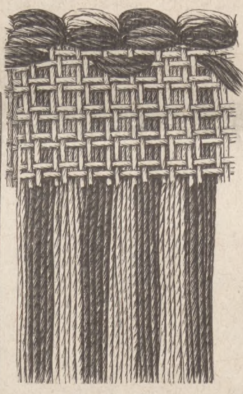
N. 5. Serweta wyszyta na materyale w deseń turecki.



N. 9. Przeciągnięcie frendzli r. 8.



N. 7. Szlaczek wązki do serwety ryc. 5.



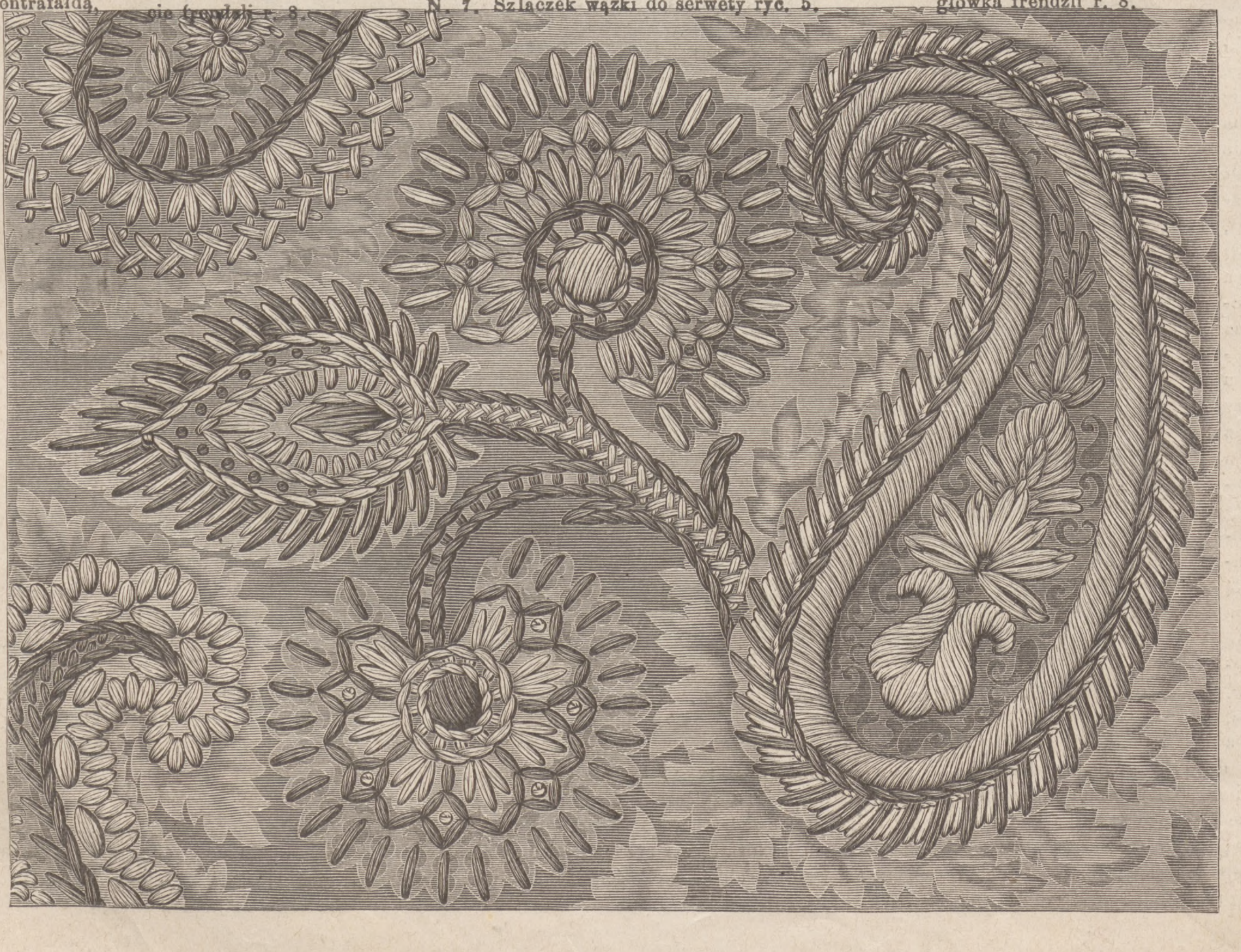
N. 10. Wykonanie nagłówka frendzli r. 8.

N. 40. Ubranie wizytowe.

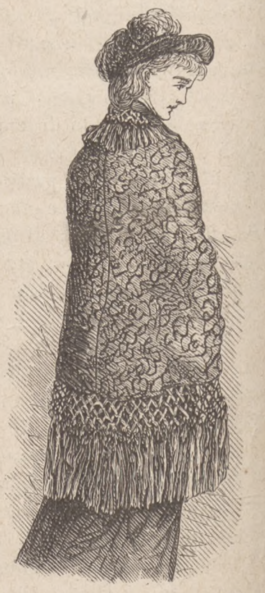
Suknia z jedwabnego repsu koloru bordeau, ze stanikiem z baskiną upiętą z tyłu jak na ryc. 11, ma spód-



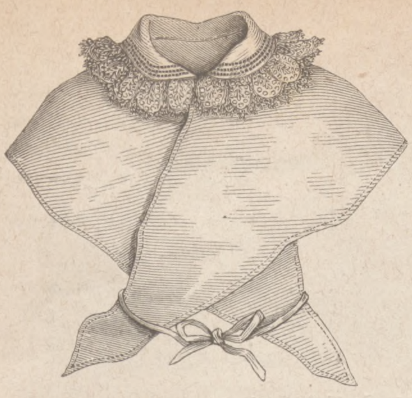
N. 11. Plecy do ryc. 31 w N. 15.



N. 6. Część wyszycia na materyale w deseń turecki do serwety ryc. 5.



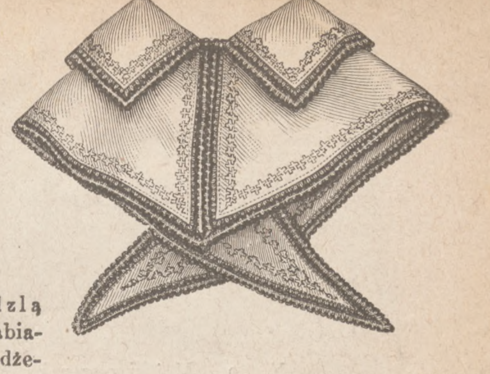
N. 12. Plecy do ryc. 7 w N-rze 15.



N. 13. Kołnierzyk ze szmizetką.

nicę przybraną draperją spadającą tylko na bryt przedni i boczne tylne zaś bryty przedłużone w długi tren spadają gładko, a u góry zebrane są w głęboką kontrafałdę. Baskina przy staniku przepięta kokardą zakończona jest sutemi szmuklerskiemi kwastami.

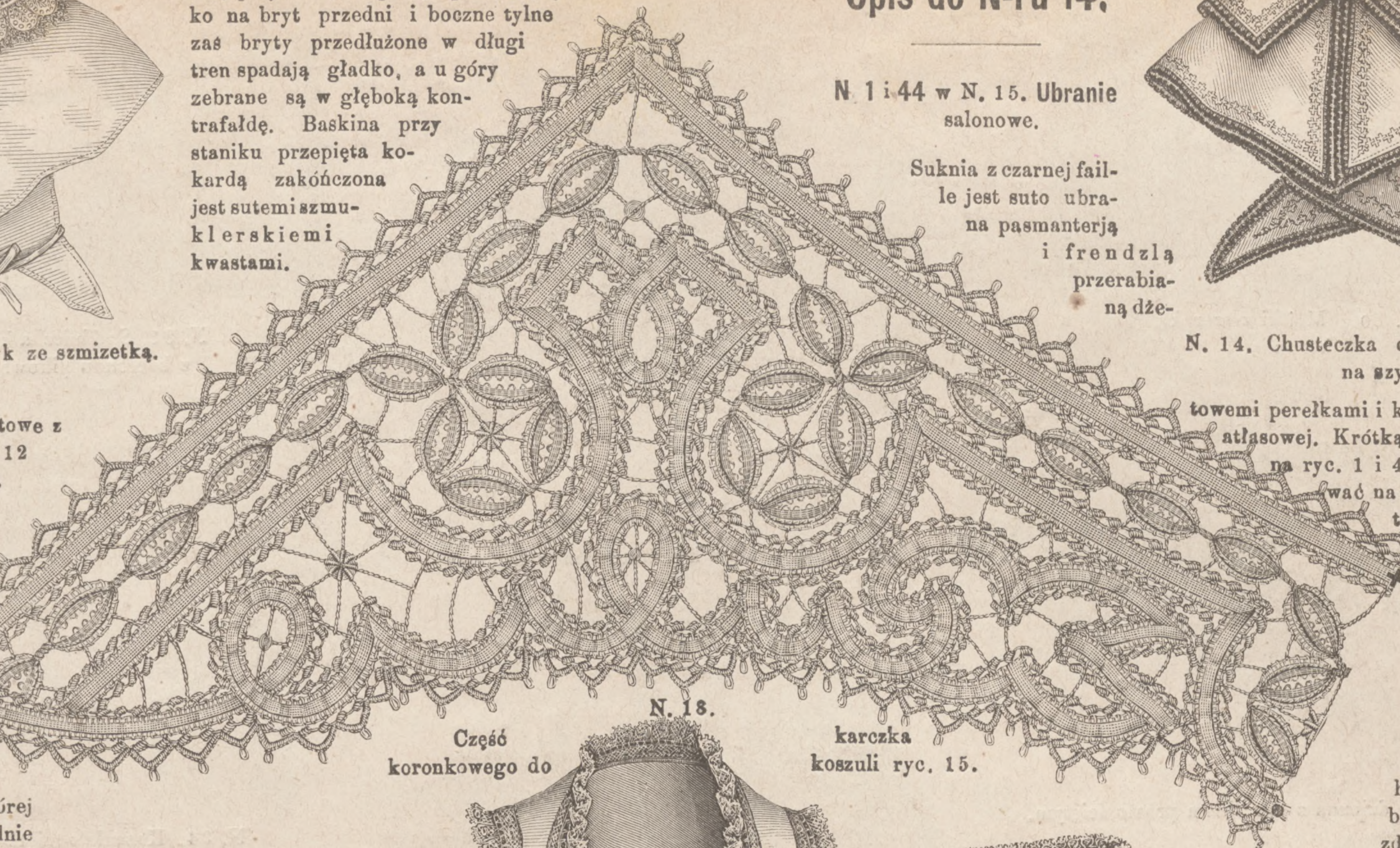
Opis do N-ru 14.



N. 14. Chusteczka do założenia na noc na szyję.

N 1 i 44 w N. 15. **Ubranie** salonowe.

Suknia z czarnej faille jest suto ubrana pasmanterją i frendzlą przerabianą dżetowemi perełkami i kokardami z wstążki atłasowej. Krótką draperyę wskazaną na ryc. 1 i 44, najlepiej dopasować na osobie i dopełnić z tyłu brytem prostym 100 cent. szerokim. Do przodów stanika dodany jest plastron atłasowy w górze zapięty skośnie na duże guziki, dalej stanik zapina się na kryte haftki; plecki mają baskinę fałdowaną ozdobioną kokardami i puklami ze wstążki.



N. 18. Część koronkowego do karczka koszuli ryc. 15.

N. 2 i 43 w N. 15. **Ubranie** spacerowe z paletocikiem frakowym.

Paletocik frakowy kraje się podług formy paletota dopasowanego do figury, a przody wycina się u dołu w sposób wskazany na r. 2; ażeby oryginalną formę lepiej uwydatnić, do spódnicy z gładkiego materyału na paletocik dobiera się materyał w guście tureckim, aksamit w kolorze odmiennym, lub brokatełę albo adamaszek. Do deseniowego materyału na kołnierz z dużemi klapkami, na wysokie mankiety i kokardy, bierze się gładki aksamit, a do gładkiego aksamitu atłas lub materyał deseniowy. Spódnica ogarnirowana dwoma szerokiemi, plisowanemi wolantami; z boku zapinana spódniczkowa tunika bez żadnego garnirunku.

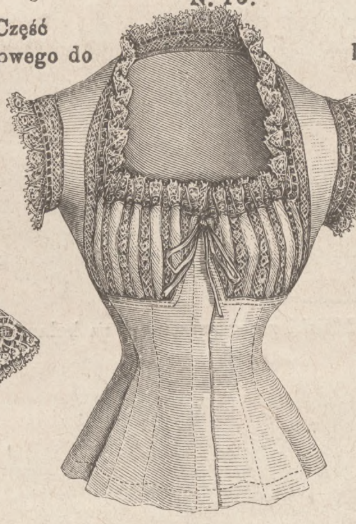
N. 3. Tło albo **szlak** siatkowy. Cerowanie i robota gipiurowa na tle w kratę.

Próbki takiej siatki podaliśmy w r. 1879; deseń można robić takim jak tło kolorem albo kolorowemi jedwabiami. Jeżeli siatka ma być użyta na szlaki, trzeba z brzegów dodać jakie wązkie szlaczki.

(d. c. n).

N. 41. Ubranie wizytowe z vêtement. Patrz ryc. 12 do 15 w N-rze 11.

Rycina 41 przedstawia plecy a ryc. 12 w N. 11 wskazuje przód strojnej sukni wizytowej, z vêtement formą princesse, której wykończenie odpowiednie jest szczególniej do ciężkich jedwabnych materyałów, a przybranie bogatym haftem czyni ją bardzo efektowną i elegancką. Spódnica z długim trenem naszyta u dołu kilkoma lekko namarszczonemi falbankami, zachodzącemi na siebie z pod których u dołu wysuwa się plisowanie. Rycina 13 w N-rze 11 załącza w maleńkim formacie krój vêtement, zapiętego wzdłuż przodów i dopełnionego częściami a panier, przykrojonemi podług litery *d* i przyczepionemi na vêtement na 16 — 18 cent. poniżej stanu. Przedni brzeg panier sfałdowany do 13 cent., dochodzi tylko do pierwszych zaszewek, tylne brzegi zebrane przez założenie fałd do 23 cent długości opuszczone są na szwach łączących boki z plecami. Rycina 14 w N. 11 wskazuje próbkę wyszycia cienkim sznureczkiem, perełkami i kordonkiem; zamiast perełek dżetowych, kamiennych, clair de lune lub t. p. można dać wyszycie ściegiem supełkowym. Dla osób mających dość wprawy i gustujących w hafcie załączamy wzór kolorowego haftu w guście tureckim, odrobionego na czarnym kaszmirze ściegiem płaskim; wyszycie przedzielające palmy dane haftem maszynowym. Brzegi vêtement zakończa frendzla z paciorkami 12 cent. szeroka.



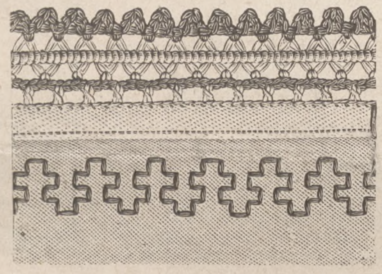
N. 19. Staniczek na gorset.



N. 20. Rękawek z koronkowym mankietem ryc. 21.



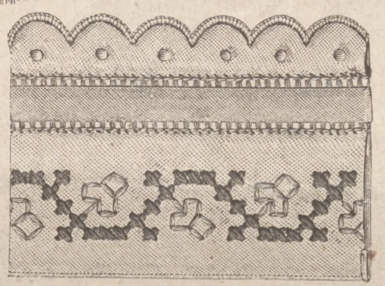
N. 21. Kołnierzyk koronkowy dla starszej osoby.



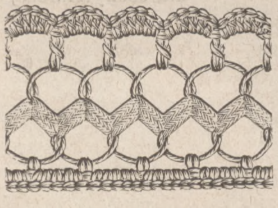
N. 15. Szlaczek do ryc. 14.



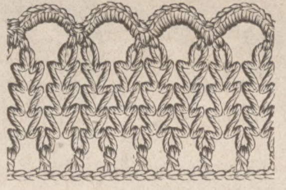
N. 17. Karczek koronkowy. Patrz ryc. 18.



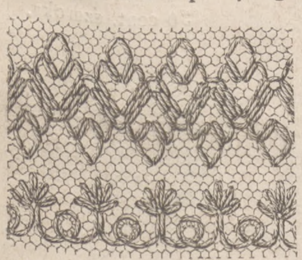
N. 16. Szlaczek do ryc. 14.



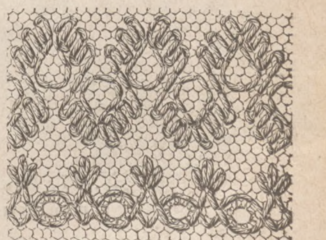
N. 22. Brzeżek do bielizny.



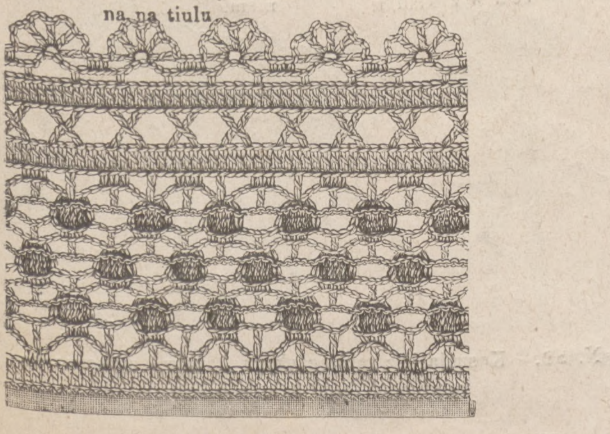
N. 23. Torsadka obrobiona szydełkowemi ząbkami.



N. 24. Koronka wywiedziona na tiulu.



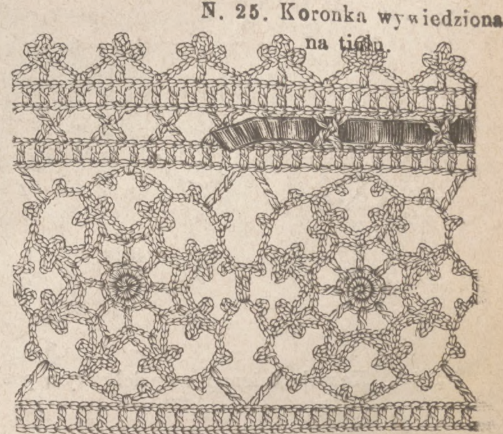
N. 25. Koronka wywiedziona na tiulu.



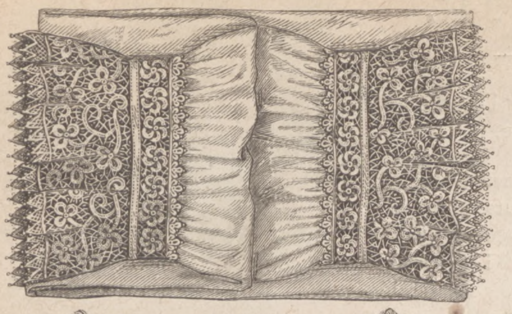
N. 26. Koronka szydełkowa do bielizny.



N. 27—28. Fartuszek do gospodarstwa.



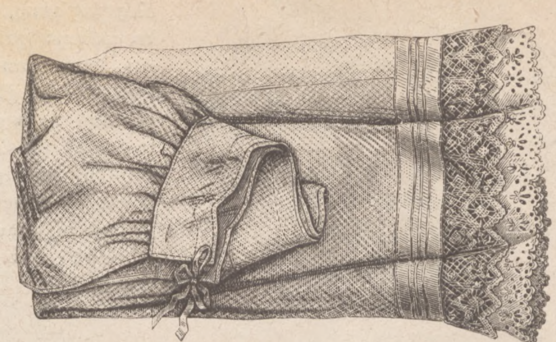
N. 29. Część szydełkowego karczka do ryc. 49



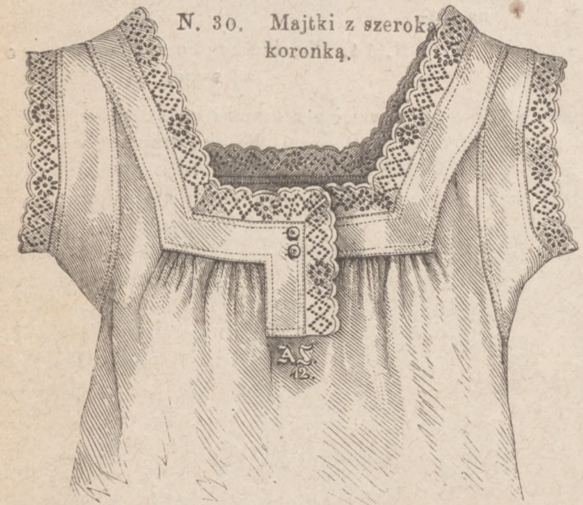
N. 30. Majtki z szeroką koronką.



N. 32. Koszula z kwadratowym wykrojem.



N. 31. Spódniczka krótka z barchanu pikowego.



N. 33. Koszula dzienna z karczkiem prosto ściętym.



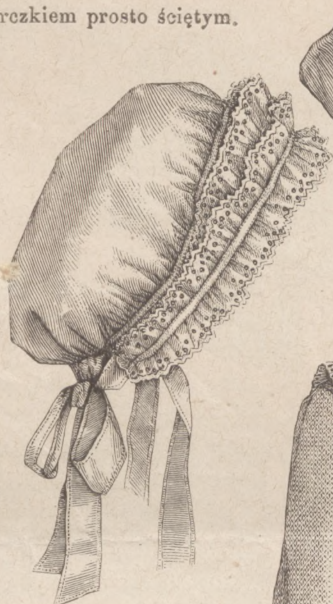
N. 34. Koszula zapięta na ramionach.



N. 35. Majtki z rozszerzeniem na kolanach.



N. 36. Majtki ze stanikiem.



N. 38. Czepek nocny.



N. 36. Czepek ranny dla osoby starszej.



N. 37. Koszula z zaszewkami.



N. 40—41. Kaftanik nocny lub ranny.



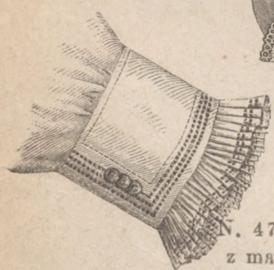
N. 42. Żabot z chustki batystowej.



N. 43. Krawatka z plisowanego muślinu kolorowego, 30 cent. szeroka.



N. 44. Koszula nocna z szerokim karczkiem.



N. 47. Rękaw z mankietem.



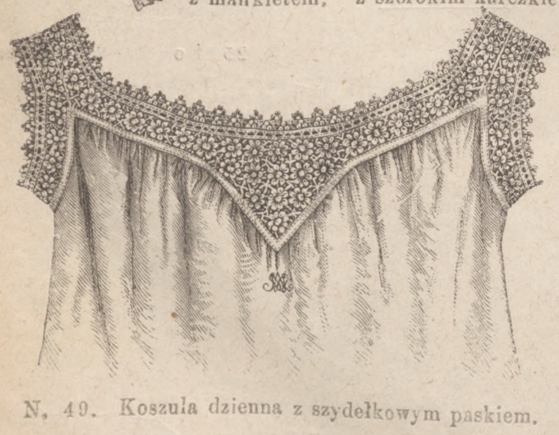
N. 46. Koszula nocna z haftem i koronką.



N. 45. Koszula nocna z gorsem w zakładki.



N. 68. Rękaw z plisowaniem.



N. 49. Koszula dzienna z szydełkowym paskiem.



N. 50—51. Pończochy kolorowe.



N. 52. Koszula bez ramiączek i rękawów, związana na ramionach, pod suknie balowe.